I 895.369

GAWĘDY

I RYMY ULOTNE

Władysława Syrokomli.

IV.

WILNO.
Nakładem Księgarni Rubena Rafałowicza.

1856.

GAWĘDY

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

IV.

200,-
II

GAWĘD,

RYMÓW ULOTNYCH I PRZEKŁADÓW

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

POCZET CZWARTY.

WILNO.

Nakładem Księgarni R. Rafałowicza.

—

1856.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001001507245

poczet 4

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

T 895.369

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy.
Wilno 20 Września 1855 roku.
Cenzor *Paweł Kukolnik.*

A

21347

w Drukarni A. Marcinowskiego.

2004 d 868/136

druk, 1.455.597

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMEŃSKICH

(edycya druga).

KAZIMIERZOWI

PASZKOWSKIEMU,

NA PAMIĄTKĘ NAJSZCZERSZEJ PRZYJAŹNI

Poświęcam

WŁ. SYROKOMLA.

DO CZYTELNIKA.

Otom znowu przed słuchaczem,
Chętny z moją posługą!
Nie pytajcie: czemu? za czem?
Gdziem się bawił tak długo?
Och cierpiałem, długo, srodze!
Dziś już piersi nie bolą;
Po staremu k'wam przychodzę,
Z kęsem chleba i solą,
Z dobrém sercem weźcie proszę,
Pokosztujcie kto życzy!
A przebaczcie, gdy potrosze
Będzie w chlebie goryczy!
Kiedym kreślił biedne dzieło,
Gwoli ducha potrzebie,
Z oczu parę łez kapnęło
I zagorzkło na chlebie!

Chciałem dar mój niebogaty,
Złożyć w ręce rowieśne;
I zbierałem nasze kwiaty,
Polne, łączne i leśne.
Myślę sobie: »ot po prostu
»Mym słuchaczom poświęcę!«
Wtém ukryta gałęź ostu,
Zakrwawiła mi ręce;
Więc i pismo poszło krzywo,
Gdy piosenkę wam klecę:
Bacząc zawżdy chęć życzliwą,
Podarujcie kalece;
Nim się lepszy dźwięk odnowi
Na wioskowym mym flecie,
Bierzcie zdrowi, k'pożytkowi,
Co tu dobrém znajdziecie.

KĘS CHLEBA

GAWĘDA.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę,
Jako skrybowie i Pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczém,
Skarżą się nieraz na brak żywéj treści:
Że w pięknéj Litwie śpiewać niéma o czém,
Że im niestaje wątku do powieści.
O bracia moi! rówiennicy mili!
Za cóż swéj matce bluźnicie zuchwali?

Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głąb' duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem wtórzyć pieśń żniwiarzy,
Albo powtarzać szczebiotanie ptasze
I jęki nasze i radości nasze —
Jeśli już dla was nienowa nauka,
Słuchać, jak serce waszych braci puka,
To weźcie wszystko przeglądać na nowo
Przez drobne szkiełko, co mikroskop zową;
Połóżcie pod niém, co łaska i wola,
Główkę motylą, lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z Litewskiego pola;—
A rozpowiedźcie sumiennie a święcie
Blask każdéj barwy, każde serca drgnięcie
Każde ruszenie drobnego atomu,
A pieśń już sama utworzy się snadnie —

A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu;
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba z méj wieczerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła;
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła!
O twojéj doli, o rodzinnéj roli,
O twojéj siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptastwo przylatało w goście?
Iak na twój kiełek czerwonawo — blady
Działało słońce i rosa i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z niebios na twe spustoszenie?

Czy sute były dożynki po zniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
Za ile ziarnek, ile dostał groszy
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca roskoszy?
Czyli na ołtarz zbytkowi i pysze?—
I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka.
O zlepku żytni! okruszyno marna!
Jakze twe dzieje ciekawe dla człeka,
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac i chróściana chata!

III.

Chleb—święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi;
W chlebie sakrament okupienia bierze,
W chlebie jest Bogu z ludzkością przymierze,

A gdzie Bóg zsyła swojego Anioła
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa;
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy,
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy;
W marnéj okrusze, barbarzyńcy prości
Przyjęli święty sakrament Ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmiasz duszę,
Dzięki twym cudom kiedy się rozmarzę.
W ziemskiego chleba malutkiéj okrusze
Całą jéj przyszłość wysnowywam snadnie,
Dusza przeczuje a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,

Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jéj dzwonek jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się,
Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę, jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa
W dzień Przemienienia, lub Najświętszéj Panny,
Z poblizkich wiosek lud Boży zwoływa:
Śpieszy w kaplicę ciżba pracowita
Święcić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą
A xiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklękły naród widzi rękę Bożą,
Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wié, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
Święcone ziarno po zoranéj roli

Sypnie garściami na każdéj rozorze,
I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,
„Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
„Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
„Tożto się wianki kłosiane posplata!“
Święcone ziarno mieszając z umłotem
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy.
Bo zdawna własnym użyźniał je potem;
Więc szczerém sercem odmawiał pacierze;
„Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!“
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k' niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, — a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyodział zieloną,

VI.

„Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
„Za dobrą wróżbę plonów mojéj pracy!

„Niech traw zbożowych nie niszczą robacy,
„Ni grad, ni powodź, ni skwarna posucha.“
Szlachcic Łagoda, dzierżawca téj włości,
Klęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
Wznosił ku niebu i ręce i oczy;
Powstał z modlitwy—i ujął ochoczy
Grubą czeczotkę, kapelusz ze słomy,
I poszedł daléj ścianką wedle gaju,
Wciąż błogosławiąc Dawcę urodzaju.
I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
Stary wesoło wypił miodu czarę,
Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie,
I opowiada przypowieści stare,
I cały wieczór był rozpromieniony,
Tak go cieszyły przyszłoroczne plony.

VII.

Och! między chwilą zasiewu i zbioru
Jeszcze rok cały nadziei a troski.

Biedny dzierżawco ubogiego dworu!
Przeminął dla was ów wiek pradziadowski,
Że gdy na polu niedopisze praca,
Inszym się kształtem rachunek opłaca:
Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów,
Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
Zanadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiéj braci;
A biada temu, kto czynszów nie płaci,
Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty.
A owych czynszów rachunek bez końca:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuzy,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy;
Za polny kwiatek pokropiony rosą,
Z którego pszczółki plastr miodu przyniosą
Za przelew prawa do kmiecej spół-braci
Tyle, a tyle, srebrników się płaci

Do rąk dziedzica:
Dziś drogie talary:
Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
Niech cię od nędzy sromotnéj wyzwoli
Garść drobnych ziarnek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
Jak gdyby szatą przyodział zieloną;
I przyszła zima, i latorośl żyta
Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
Legła jak dziécię—spocząć snem kolebki;
A w trawce drzymie, nim je Pan Bóg zbudzi,
Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o swojéj czeladzi;
Pastwiska jego my jesteśmy trzodą.
Umocnić serce wcale niezawadzi
Na wszelką dolę, Mospanie Łagodo!

Zasiałeś niwę modląc się pobożnie,
Bóg raczy wiedzieć, kto twą pracę pożnie,
Bogaty sąsiad, pan poblizkiéj włości
Może już dawno chleba ci zazdrości;
Widząc ruń piękną w około twych chatek,
I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
Może już z panem poczynił umowy
I na twą wioskę wyliczył zadatek;
Trafił pochlebstwem do pychy magnata
A sutym groszem do służalczéj zgrai,
Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,
Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie! —
Ani się stary spostrzeże Łagoda
Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
Tém właśnie dzielna probuje się głowa,
Kto zręczniéj szpony mordercze przychowa,
Biada prostakom!

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

X.

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie;
A chleborodném obdarzona życiem
Spi trawka żytnia pod białém przykryciem,
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnéj treści wyssać z niéj nie może:
Z zimnem słowiańskiém obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na sile,
A słońce wyżéj, wyżéj się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwija się wężem strumyków tysiące.
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi;
I szumią gwarem wiosennéj powodzi.
Nadbrzeżne błonie, zarośle i drzewa

Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem
Rozbija lody, łamie i rozpryska,
Fala wyzuta z cieśni grobowiska
Pląsa po nurtach wirowym obrótem.
Rybacy czółnem już po Niemnie płyną
I śmiały sternik puszcza się z wiciną,
A z ponad czarnéj pooranéj roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli,—
A rolnik, pełen wesołego ducha,
Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana,
I z sercem pełném wiosennéj radości
Wita przybycie pożądanych gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzyć, nadziwować wiośnie,

Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie,
Patrząc z uśmiechem ku domowéj strzesie,
Najpiérwszy dziatwie przylaszczek przyniesie,
Wszystkim zwiastuje najwierniéj, najwcześniéj,
Powrót bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiéj nie pamięta
Wszystkie wesołe a doroczne święta;
Kiedy się święci chleb, ogien, czy woda,
Nikt lepiéj nie znał jak stary Łagoda.
Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,
Co w nizkiéj izbie kołace u progu,
W noc Zmartwychwstania dwónastą wydzwoni,
Starzec powstaje i modli się Bogu;
A ponad rankiem, gdy cisza dokoła,
Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
Drżącemi pierśmi, ile głos podoła,
On *Alleluja* radośnie wywodzi.
I wtedy starzec najszczęśliwszy z ludzi,
Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,

Kiedy obaczy że wszyscy weseli,
Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
Kiedy mu życzą domownicy prości:
„Daj Boże za rok doczekać w radości!“

Tak rok po roku jakoś się wyprosił,
Jakoś wymodlił dla starego pana,
I radość była: bo ją w sercu nosił —
Złym sercom obca, zepsutym nieznana,
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiécha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo;
Tego modlitwą nie można uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą.
Jak długie lata żywota się liczą
Przechować serca niewinność dziewiczą.
Bo czyje oko choć raz się zapruszy,

Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biédny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i kmieci
Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci,
Klęka na morgu, mówi pięć pacierzy.
Ogląda pola, czy urodzaj wróżą;
Potém sąsiedzi do kółka się zbiorą,
Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
Potém znów klękną modląc się z pokorą;
A w dobréj myśli, ze spokojną twarzą
Idą do domu, śpiewają i gwarzą.
—„Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
„Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
„Klękli się modlić—właśnie od ugoru
„Były zasiewki garsteczką święconą.
„Ja sam rzuciłem—tam wyborna skiba,

„Niedawna trzebież, to widać zdaleka;
„A jużby Pan Bóg niełaskaw był chyba,
„Gdyby tam żyto nie wyrosło w człeka!“
Tak stary Szymon mówił do sąsiada
I nalał czarkę na trzecią już koléj:
„Bądź zdrów, Macieju! niech marnie przepada,
„Kto nam źle życzy—niech sam zginie woléj!“
—„Bądź mi zdrów, kumie!—Maciéj mu odpowie
Przyjmując czarkę, którą Szymon poda:
„Za zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
„Niedarmo stary zowie się Łagoda;
„Łagodna dusza naszego paniska,
„Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
„Nie tak jak inszy, co drże i uciska,
„Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!
„U nas... grzech mówić... tak, tak, panie kumie,
„Pan nas uważa za ludzi, za braci,
„Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,
„Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!
„Niech ze swéj dziatwy cieszy się radośnie,

„Niech zboże jego na las patrząc rośnie!“
—„Ej szkoda tylko, że rośnie przy drodze:
„Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.
„Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,
„Tutejszą wioskę zagustował srodze.
„Zjedna dziedzica i nas zadzierżawi;
„To sztuczka kręta, o sobie pamięta,
„A w pańskim zamku na niego łaskawi
„Od leśniczego do plenipotenta.
„Daje pieniądze—alboż oni głupi?
„Dla czego nie brać, kiedy ktoś przekupi?
„A dla dziedzica... to niewielka szkoda,
„Że nas obedrą bez litości Bożéj,
„Czy pan Zabora, albo pan Łagoda,
„Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożéj,
„Ten będzie siedzieć na dwornym zagonie.“
—„A w Imie Ojca i Syna i Ducha!
(Zakrzyknął Maciéj) „Szymonie! Szymonie
„Nie gadaj głośno—bo szatan podsłucha;
„A Bóg łaskawy strzegł nas do téj pory

„Od głodu, ognia i pana Zabory!
„Alboż nie słyszysz jak jego poddani,
„Każdéj niedzieli gdy się w karczmie zbierzem,
„Z głodu wybladli, szmatami odziani,
„Sypią przekleństwem, jak żebrak pacierzem?
„Gdy nas Zaborze dola w ręce poda,
„Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.
„Posłuchaj, kumie, wypijmy po czarce,
„Niech z nami stary wiekuje Łagoda!“
Tak dwaj kmiotkowie przy kielichu szczerzy,
Gwarzyli z sobą, na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie jak nikt nie pamięta,
Złoty urodzaj!—święconych ziarn dzieło!
Pod koniec maja na Zielone święta
Zielone kłosie krasować poczęło;
Mży się jak fala polanka bogata,
Pył chleborodny jak dym nad nią lata;
W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,

Bo łaską Bożą ponad kłosiem wieje.
Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem,
Będzie gaj żytni—to przypowieść znana.
Stary Łagodo! zkąd taka odmiana,
Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczem?
Poglądasz w koło tęsknemi oczyma,
Na uściech twoich uśmiech się nie trzyma?
Czemu najczęściéj zasklepiasz się doma?
A gdy cię kroki na pole powiodą,
Bywało z kwiatem, z grzybem lub z jagodą,
Teraz powracasz z pustemi rękoma?
Czemu w twém oku uśmiech coraz rzadszy
Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
Ani cię polny urodzaj pocieszy,
Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta,
Ani śpiewanie pracowitéj rzeszy,
Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta;
Cóś ci niemiło, niedobrze na swiecie,
Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.
O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy,

Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą,
Bystry u niego o! bystry wzrok duszy,
Jego przeczucia nigdy nie zawiodą.
Stary Łagoda, lubo już nie w porę
Oczami duszy przeniknął Zaborę.
Choć serce pełne prostoty gołębiéj
Myśl podejrzliwą jakby grzech odpycha;
Lecz robak w serce wgryza mu się głębiéj,
I jak mól w drzewie wciąż kołata zcicha.
„Ej, pękną twoje najdroższe nadzieje!
„Ej, praca życia marnie ci zmarnieje!..,
„Dzisiaj zamożny i spichrz i stodoła,
„Jest cóś i w trzosie—to krwawy pot czoła;
„Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
„Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
„Cóś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
„Z pańskiemi sługi cóś bardzo się brata?“
Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą;
Dokąd się stary obróci Łagoda?

Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
Nieszkoda zbiorów i dworku nieszkoda,
Chociaż nałogiem serce doń przyrosło,
Nieszkoda bujnych urodzajów pola,—
Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
Podrosła dziatwa—a kędyż jéj dola?
Zgrzybiała głowa—a kędyż odpocznie?
Choćby pracować i ciężko i szczerze,
Ręce niezwykły k' sosze i siekierze.
Nad kim już cięży grobowe przykrycie
Późno mu nowe rozpoczynać życie.

XIV.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał Nadniemeńską niwę,
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadne,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptastwa śpiew mię nie omami,

Znam, jak skowronek, jak tam słowik śpiéwa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
wiatr tameczny rozpoznam płucami:
Bo tamte strony ukochałem szczerze—
A taka miłość—jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubej tajemnicy,
Obcym jéj uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowéj sośnie,
Ku lichej trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k' pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą jak z matką,
Że nic tam dla mnie niebyło zagadką,
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę jak żywo starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie.
I słuchem duszy jak gdyby na jawie,

Słyszę na błoni nadrzecznéj obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściéj,
I jak pod sierzpem żniwiarek zachrzęści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chychocą i pieją,
Pieśni żałośne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat koleją—
I z matki, z babki, z prababki podeszłéj
Do ust nadobnéj krasawicy przeszły,
Pieśń o Dunaju, o kraśnéj kalinie,
I o kozaku co na wojnie ginie;
A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostéj piersi szczęśliwą nadzieją,
Śpiéwa o lubym, o zielonéj rucie,
A towarzyszki z jéj marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie gdy ją dumka pali
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć daléj.

Widzę jak słonko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiéj.
A tu na polu krzątają się dziewki,
By dworskich morgów dziś dożąć obszary,
W tém samém miejscu, kędy Maciej stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, xięże, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca niemarna:
Plonny urodzaj ściele się do brogu.
Dożnijcie zagon wesołą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwijcie do wianka najpiękniejsze kłosie,
Z kraśną kaliną i modrą bławatką;
Zanieście panu podarek ze żniwa
Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

XV.

Nic zdrów, nie wesół, cóś stary Łagoda—
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniéj przyjmował z uśmiechem radości
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
Czemu zesmutniał a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
A gdy śpiewano dożynkowe pieśnie
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!
Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniej widzieli—lecz zgadli choć prości
Że insza smutku, insza łza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska;
Co kiedy błyśnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem bozkim przyobleka.
Takiemi łzami, w dożynkowe święta,

Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
Ale łza smutku dzisiaj niepojęta,
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?
Żona i dziatwa widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nieśmieją a zgadnąć niemogą
I sami smutni leją łzy ukradkiem.
Lud patrząc w oczy, aż zabłysną słodziéj
Nieśmiało k' stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wesołém okiem spójrzał na żniwiarzy,
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanéj twarzy.
Na stole białą zasłanym oponą
Stawią chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną
A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce,
Piskliwe tony wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce.—Miód, sprawca wesela,

Krązy po rękach—gwar coraz to wzrasta;—
Skromny parobczak i cicha niewiasta
I młode dziéwczę coraz się ośmiela.
Podchodzą k' panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiécha i ochoczo gwarzy:
U niego kmiecie, to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili,—
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W samém powietrzu szumi święto żniwa,
W mgłach letniéj nocy z echem się rozpływa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmiecy rozhowor rozlega się głośno:
„Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
„Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,
„Niech syny jego, na téj saméj ziemi,
„Będą panami nad syny naszemi!"

XVI.

—„Oj, źle, Szymonie! źle, sąsiedzi moi!
„Tylko u Boga miłosierdzia proście:

„Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
„Dziś szumią inni na folwarku goście.
„Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
„Taki dał rozkaz do swych komissarzy:
„Wygnać Łagodę, bo źle gospodarzy,
„A wioskę jego dać panu Zaborze.“
Tak kurząc lulki a idąc do pracy
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.
—„Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy!
(Rzekł na to drugi) ależ jak? i za co?“—
—„Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
„Znajdą przyczepkę—bo za to im płacą;
„Daj się im w ręce!—jak opiszą człeka,
„To aż zapomnisz o swym własnym rodzie:
„Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
„To aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
„Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
„Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
„Ot i podeszli... oczernili marnie...
„Teraz chudobę ostatnią zabiorą...

„Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
„Pana Zabory niebespieczne oko,
„Dziedzic daleko a Pan Bóg wysoko,
„Zabora skargę niebardzo wysłucha.
„Dobrze nam było ze starym Łagodą,
„Bóg raczy wiedzieć czy tak będzie dłużéj,
„Czy się tak samo nabytki powiodą?
„Na dwoje wróżka, ej na dwoje wróży!
„Bywało grosza zarobi gromada
„Gdy na flisówkę parobcy popłyną,
„Dzis pan Zabora, gospodarz nielada,
„Każe im dworną puścić się wiciną
„Tak... tak... sąsiedzi...!“ tu starzy włościanie
Kiwnęli głową jakby w jedno hasło
I stary Szymon rozprawiać przestanie
Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
Wykrzesał ogień, rozpalił i pyknął,
I daléj mówił: „Zły życia ostatek!“
„Człek do Łagody już dawno przywyknął.
„Toż on, Mospanie, ze mną jednolatek,

„Jeśli dożyjem tegorocznéj zimy,
„Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
„Lat ze trzydzieści, czy więcéj już pono
„Jak my za niego Pana Boga prosim,
„Toż kiedy cerkiew dzisiejszą święcono
„Kończy się latek trzydzieści i osim.
„Dobre panisko—ej szkoda go, szkoda!"
To mówiąc starcy rozeszli się skoro,
A w każdych uściech był stary Łagoda,
A w każdém sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
Że tam i gwarno i szumno we dworze:
Przybył pan rządca, a każdy już świadom,
Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
Pan rządca z razu przystępny, łaskawy,
Z uśmiechem w uściech, jakby Anioł z nieba,
Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
Łagoda prostak nie wié, co potrzeba,

Nie zna przysłowia: „nieweźmiesz gdy nie dasz.“
Ani pojmuje sumienia na przedaż.
Dobrze mu za to!—pan rządca w pokorze
Zgraję pismaków do dworku napuszcza,
Na polu, w spichrzu, w komorze, w oborze,
Wszędzie plądruje wygłodniała tłuszcza;
A każdy chmurném spójrzeniem aż bodzie.
Tylko pan rządca ma uśmiéch na twarzy,
W imieniu pańskiém staremu Łagodzie
Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
Że śpichrze starym pobudował gustem,
Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
Że się rozwala stary młyn z upustem,
Zkąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
Że wodospustów na łące niewiele,
Które się kopią jak najlżejszą pracą,
Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
Zkąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
Pióro jak wicher po papierze lata
Kreśląc Łagody gospodarcze winy,

Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
Każda na pieniądz oblicza się strata,
Rosną tysiące w straszliwéj postaci,
Które Łagoda gotówką opłaci.
A jeszcze czynsze—to już swoją drogą,
Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,
Co jedno z drugiém obliczywszy szczerze,
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze,
„Tak—mówił rządca—źle, panie Łagodo!
„Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
„Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą,
„Czemu nie brałeś przykładu z Zabory?
„Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
„Osadził drogi topolem i brzozą:
„Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
„U niego zboża do stodoł nie zwiozą,
„Taki urodzaj!—a co u Waszmości?
„Kąkol i chwasty, kamienie i trawy,
„Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
„Potém łaskawie wyruszyć z dzierżawy:

„Swojego dobra nasz dziedzic już dłużéj
„W podobne ręce powierzyć nie może;
„Wiedząc, że sąsiad lepiéj mu usłuży,
„Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
„Co się mnie tyczy, ubolewam srodze,
„Że z niedobremi wieściami przychodzę...
„Za to wszelkiego dołożę starania,
„Ażeby ulżyć Waszmościnéj doli,
„Memu bliźniemu wedle przykazania
„Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
„Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
„Wedle rachunku winieneś ją kassie;
„Niech to Waszmości głowy niekłopota.
„Może nie jesteś teraz przy zapasie,
„To poradzimy i na to jak możem,
„Na wszystko sposób najkrótszy przywiodę:
„Cóś gotowizną, cóś weźmiemy zbożem,
„Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,
„Wszystko w rachunku przyjmiemy, strącimy,
„I dopomożem i będziemy radzi;

„Możesz we dworku przemieszkać do zimy,
„Bo pan Zabora wójta tu osadzi.
„A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
„Nie umrze z głodu twojéj dziatwy rzesza,
„Są miłosierne zakłady na świecie,
„A na niebiosach jest Ten, co pociesza.“
To mówiąc rządca łagodnie i zcicha,
Słodkiém obliczem k' niemu się uśmiécha.

XVIII.

Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
Zadrżał z ohydy i zacisnął pięście:
Ogniem zabłysły przyciemniałe oczy,
A krew gorąca serce mu oblała,
Ze staréj twarzy ledwie nie wyskoczy,—
A gniew na czole trzęsie się i pała.
Ale rozważył i obliczył pilno
Swoje ubóstwo i starość bezsilną,
Obliczył, czego nie czuł do téj pory,
Potęgę możnych i chytrość Zabory.

Nierówna walka!—zamarzył jak we śnie,
Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
Na jego oczach błysła łza chwilowa,
„O dzieci moje!“ wyjęknął boleśnie;
Lecz krótko tryumf trwał nieprzyjacieli,
Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
Spójrzał ku niebu i ducha pocieszył,
Spójrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.
Czy odrętwieniem boleśném dotkniony,
Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
Pomimo płaczu i dziatwy i żony,
On zimném okiem patrzał na łupieże.
Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
Krwawo dla dziatwy zebrane grosiwo,
Patrzał z uśmiechem kiedy ręką chciwą
Pańską pieczęcią stodoły zamknięto.
Ciężéj mu było przenosić daleko
Głód własnéj dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
Jak z jego trzody udojone mleko
Dawano chartom pana komissarza.

Kiedy wprzęgano do cudzego pługa
Dwa siwe woły, co bywało pieści,
Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
Zelżywém słowem kiedy go bezcześci,—
Ale urazę odrzucił na stronę,
Ani się dąsa, ani gniewem miota,
Choć ręce słabe, barki pochylone,
Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
Pogodne czoło, obojętne oko,
Nie zdradza żalu, ni brzydkiéj rozpaczy,
A jeśli cierpi, to gdzies tak głęboko,
Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
Gdy mu służalcza uprzykrza się rzesza
Dziatwę utula i żonę pociesza.
Wmawiał że zawod rozpoczyna świeży,
Udawał młodość i siły ochocze,
I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
Wziął starą chatę i gruntu półwłocze;
Odarty z grosza, z obory i stada,
Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.

Świetny pan rządca! gdy się w mieście zdarzy
I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy!
Ale Łagodzie cóś bardziéj do twarzy
Pogodne czoło i kostur żebraczy.
Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty,
Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Żegnał ich z płaczem za wiejskiemi wroty,
Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski,
Przypominali ich pobyt ojcowski
Całując ręce i pana i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.

I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał,
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żałość nieobłudną,
Można tym oczom zawierzyć gdy płaczą.
Stary Łagoda doświadczył naocznie,
Jak go żałują kmiotkowie ubodzy;
Z dobremi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili;
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiéj nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napełnia się dusza,

Jaką czuł starzec gdy z wioski wyrusza,
W staréj sukmanie, w skrzypiącéj kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług nie próżna karbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.

Spójrzenie wzniosłéj i cnotliwéj pychy
Rzucił raz jeszcze ku wiejskiéj zagrodzie,
Skrył się za górą jego wózek lichy,
I niesłyszano więcéj o Łagodzie.

*

* *

XX.

Nie sądźcie, moi czytelnicy mili,
Że na bezdroża zuchwale was wiodę,
Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
Kreśląc Zaborę i starca Łagodę;
O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze,
Żem się zagwarzył i Bóg wié co gwarzę.
Oto, daleka Nadniemeńska wioska
Po to się kréśli, byśmy prawdzie wierni,
Łacniéj śledzili pierwszy zaród kłoska,
Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
Raczcie przebaczyć, że nieczyste pole,
Że obok kłosów—porosły kąkole.
Więc jako czynią na polu żniwiarze,
Jedno i drugie na snopki rozdzielę,
Jedno i drugie w oczy wam pokażę,

Byście poznali, co chleb, a co ziele.
Byście niemogąc rozeznać z oddali
W chwastach zbożowéj trawki nie zdeptali.
Chleb—wielkie słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed chlebem życia truchleją Anieli,
Człek go pożywa usty pobożnemi;
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,
W chlebie Bóg życie doczesne przysyła,
Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi,
Zbawienie ciału, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty,
Kto chleb zbawienia świętokradzko spozył!
Pokarmem życia na duszy otruty
Pod swemi stopy sam przepaść otworzył.
O ziemskim chlebie też same są wnioski;
Jeśli nie wierzysz, przychodniu zdaleka,
Zajdzij na Litwie do najpierwszéj wioski,
I spytaj o to najpierwszego człeka.

Tam ci naocznie pokaże lud Boży
Chleb, co się sporzy i co się niesporzy;
Jeden posila—a drugi cię zdradnie
O głód przyprawi i obdarzy bolem:
Jeden być musi zatruty kąkolem
A drugi czysty,—któż zresztą odgadnie?
Zdaje się zboże czysto i wyniosło
W bliskich zagonach wedle siebie rosło,
Razem doznało i deszczu i suszy,
Razem pożęte, zwiezione przed burzą,
Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
A przecięż zdrowiu niejednako służą:
W jedném być muszą kąkolu owoce,
Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce.
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście, ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę, ani w dni powszednie:
To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
Spytaj Zabory—jeżeli nie zblednie,
To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
A był to wieczór i deszcz chłosnął duży,
Przez całą odzież, po twarzy, po ręku
Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
Iskierka ognia błysnęła w okienku,
Dach się nasunął—to była gospoda.
Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
Klecone z berwion, potrząśnięte słomą,
Nędzne postacią i dymem i wrzaskiem
Każą się we dnie omijać zdaleka;
Ale w noc ciemną swych ogniów odblaskiem
Jakoś w podróży orzeźwiają człeka.
Jakoś ci głowa weselej zamarzy,
Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie:
Bo zatęskniony do człowieczéj twarzy
Chciałbyś rzec komuś: „dobry wieczór bracie.“
Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
A tutaj dobrém słówkiem się odezwą,
A lud zebrany rozprawia natrzeźwo,

A komin ciepłém ogniskiem wybucha?—
Ni ztąd ni z owąd chętka się nawinie
Przepędzić nocleg w ubogiéj mieścinie.
W takiéj gospodzie, choć do domu blizko,
Stanąłem tedy na noclegowisko.
Niechcąc się nudzić w izdebce dla gości,
Wszedłem do izby, kipiącéj w rozgwarze;
Tam pili miodek jacyś ludzie prości,
Z dalekiéj strony wiejscy gospodarze.
Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
Taki słyszałem rozhowor tych ludzi:

XXIII.

—„Bądź zdrów Macieju!“—„Pij wesół Szymonie!“
—„Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
„Gdzie się to stary obraca Łagoda?
„Bóg raczy wiedzieć—ot marnie gdzieś zginie
„Widzisz!... odarli człeka do ostatka
„I w świat puścili—aż strach, panie kumie!
„Co jemu zagon i czynszowa chatka?

„Wszakże on sochy udźwignąć nieumie;
„A gdyby umiał, to tylko zastęka,
„Nie jego siła, nie jego w tém ręka.
„Co to? wiek cały przebył po szlachecku,
„Jak tu przywyknąć w ubogiéj chudobie?
„A w lat sześćdziesiąt—to siły jak w dziecku,
„Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.“
—„Co tam, Szymonie! Bóg dobry i basta!
„Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.
„Już dzięki Bogu i dziatwa podrasta,
„Coraz pocieszy i wyręczy starca.
„Niech tylko ręką powodzi się praca,
„Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.“
—„Dziś gdyby do nas zawitał na chwilę,
(Rzekł drugi wieśniak przyparty do ściany)
„Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,
„Aniby poznał—takie tam odmiany.
„Prawda że z nami bywa czasem kręto,
„Za to Zabora wszędzie zysk wyciśnie
„Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.

„Ot nowe śpichrze budować zaczęto,
„Nowemi gonty pokryto dom cały.
„Morgują pola i kopią kanały.
„Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie;
„Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,
„Budować z muru piętrowe gorzelnie,
„Sprowadzą wielkie woły z Ukrainy;
„Co będą orać i pracować latem,
„W zimie sprzedane—grosz spłacą dukatem."
—„Byłem (rzekł inszy) niedawno we dworze
„Poprosić pana, by zwolnił od stróży.
„Sam pan Zabora był w dobrym humorze,
„Jął się przechwalać, że mu szczęście służy:
„A co? powiadał, gospodarka tęga?
„Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,
„Nie tak jak dawniéj—stary niedołęga,
„Nie znał że dworek to jabłko ze złota;
„Bywało włościan żałuje i pieści
„I cóż mu w końcu dopomogli chłopi?
„Coż tu zarobił przez latek trzydzieści?

„Czeczotka z lasu i torbę z konopi.
„Ot i w tym roku u pana Łagody,
„Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie.
„Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie
„I bez modlitew, bez święconéj wody!
„On, starożytnym zwyczajem narodu
„Poświęcał kłosy a orał niedbale,
„Latem przy żniwie więdniał na upale,
„Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
„Ja się niewdając w miłosierdzie Boże
„Pójdę o własnéj gospodarskiéj sile,
„Pięć razy pole pod żyto poorzę
„A będzie chleba dziesięć razy tyle!"
—„Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
„Niech Pan Bóg broni takiéj gospodarki!
„Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki,
„Ot i choroba zjawiła się w chacie,
„Że już i końca nie widziałem lichu!
(Tak mówił Szymon szeptając pocichu)
„Naprzód zasłabła dziecina z kolebki,

„Potém parobczak—a gdy ten się dźwignie,
„Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
„Ot drugi tydzień jak leży w malignie.
„Ja do doktorów—co tam doktorowie!
„Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
„Ja do znachora—daj Boże mu zdrowie!
„Całą chorobę odgadnął po chwili.
„Może to z wiatru? pytam u znachora,
„Może złe oczy?—„A broń Jezu Chryste!
„Pewnie was chlebem nakarmił Zabora;
„W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste;
„Dajcie tu kęsek—ja zło wyprowadzę."
„A gdy go żegnać i szeptać cóś pocznie,
„To cóż powiecie? chleb zczerniał na sadzę,
„Po nim robactwo pełzało widocznie.
„Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
„Słuchaj, Szymonie, tak mi znachor rzecze;
„To czyjaś własność niesłusznie wydarta,
„A to robactwo, to są łzy człowiecze.
„Nie bój się! zdrowie choremu powróci!

„Lecz chleb ten spalcie do jednéj okruchy:
„Inaczéj wszyscy będziecie zatruci,
„Lub was nieczyste opanują duchy.“
„Więc ja do miasta następnéj niedzieli,
„Kupuję żyto i wiozę do młyna;
„Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
„I syn mój biedny, zwlekać się poczyna.“
Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe
Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

—„Słyszałem o tém—rzekł inszy z wieśniaków—
„Mówiłem żonie, że zaklęte zboże;
„Lecz ona prawi: wszędzie chleb jednaków,
„A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
„Na dworném polu pracuje gromada
„Od poniedziałku do saméj soboty,
„Człek niemasz czasu do swojéj roboty,
„Cóż więc dziwnego że w polu przepada?
„Jeśli jest jakie sumienie na świecie,

„Niechże Zabora przekarmi nas przecię!
„Tak nierozważna mówiła kobiéta,
„Poszła do dworu i przyniosła zboże,
„I wnet się do nas nieszczęście przypyta:
„Jakaś niezgoda, dopuszczenie Boże:
„Kobiéty, dzieci, a nawet ja z bratem,
„Pan Bóg wié za co, nuż kłótnie i swary;
„Szatan się cieszył—a co idzie za tém,
„Znikła zamożność i porządek stary.
„Mówię do brata: posłuchaj mię, Janku,
„Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
„Co to za korzyść kłótnia bez ustanku?
„Obraza Boga i pośmiech u ludzi.
„Więc się rozdzielmy—„Rozdzielmy się, powie,
„Wszakeśmy bracia, nie jacyś wrogowie.“
„Poszedł do dworu, wziął półwłocz pustoszy,
„I nuż się dzielić:—bo szatan rozpędza.
„Był jakiś zapas dobytku i groszy,
„Poszło na dwoje—u obudwóch nędza!
„A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,

„Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,
„Mówiąc do siebie: jak się chleb nie zlepi
„Tak my pospołu nie będziem żyć daléj"...
„To w kęsie chleba, czy dacie mi wiarę?
„Jakieś robactwo znalazło się szare.
„Wtedy uczułem że czegoś się boję,
„Niedobrej wróżby—i wyszło na moje:
„Przy wspólnéj pracy, za dawniejszéj pory
„Człowiek się łatwiéj nakarmił, przyodział;
„Dziś my nędzarze!—a to chleb Zabory
„Przywiodł do domu niezgodę i podział."

XXV.

—„Ej, prawda! prawda!—rzekł parobczak młody,
W chlebie Zabory nieszczęście się chowa:
Ot zapomniałeś niedawnéj przygody:
Pamiętasz Hannę? i piękna i zdrowa,
W szesnastym roku — o, Boże uchowaj!
Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała,
Pan miarkę żyta dał jéj na korowaj,

Otoż nieboga w dzień ślubu skonała.
A tamten żebrak o drewnianéj nodze?
Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru,
Pamiętasz? z wioski powlekł się do dworu,
Dostał kęs chleba — i umarł na drodze."

XXVI.

—„Znają dokoła Zaborzyńskie zboże.
(Znów mówił Szymon nad czarką schylony),
Zabora w cudze posyła je strony,
Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
Tu w wielkiém mieście i znaku nie będzie.
Tu między ludźmi niezgod co niemiara,
Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
W zaklęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
Nie tak, jak w naszém miasteczku targowém:
Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
Dawaj gawędzić to o tém, to owém,

O urodzajach i ziarna i słomy.
„No! (mówił do mnie) niech ja marnie zginę!
„Dziwnego pana wy jesteście chłopi:
„Garść jego zboża sypnij na wicinę,
„Pewno się cała wicina zatopi.
„Zdaje się rządny, gospodarz wyborny;
„Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
„Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
„Musi mieć serce powalane w sadzę!“
O! panie bracie, mają rozum żydzi,
Zdaje się prostak—a jak rzeczy widzi!“

XXVII.

Taką gawędę słyszałem w gospodzie,
I takem sobie rozmyślał w podróży:
Czemu kęs chleba wydarty Łagodzie
Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
Czemu, gdy w jakiéj zajawi się strzesie,
Kłótnię, chorobę, albo śmierć przyniesie?
Za co niewinnym trzeba karę znosić

Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
Czy własnych grzechów na duszy niedosyć,
Aby opłacać przewinienia cudze?
Czemu Zabora wesoły, bogaty?
Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
A biedny rolnik z wyrobniczéj chaty
Jedząc chleb jego—nieszczęście spożywa?
Ja w mojéj głowie tego nie wyjaśnię....
Karczemne baśnie,—nic więcéj jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
Zboże Zabory chciwie odstąpili;
I myślę w duchu: czyliż od téj chwili
Więcéj tu cierpień i niezgód się zjawi?
Ale rządzeniem tajemniczéj Ręki
Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
Wypiekł na chleby—wziąłem dwa bochenki,
I chleb zaklęty jadłem na wieczerzę.
A Pan Bóg, karząc swéj woli bluźniercę,

Łoże niemocy zgotować mi każe,
A ten, dla kogo niosłem bratnie serce,
Boleśne na mnie jął ciskać potwarze,
I chleb, nieczystą pokalany siłą,
Krwawemi łzami oblać przychodziło.

XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożéj,
Gdy grzechy chłoszcze, a zasługę płaci!
A my zuchwali bluźnimy najsrożéj
Cierpiąc za naszych ojców i współbraci.
Może w ten sposób miłosierna rada
I nasze winy na ludzkość rozkłada;
By grzechów świata zgładzić szereg długi
Wspólném cierpieniem, wspólnemi zasługi;
Czy może pełniąc za bliźnich ofiarę
Własnéj zasługi dopełniamy miarę;
Bóg raczy wiedzieć—ale zawsze biada:
Bo obcy ciężar wziął na swoje ramie,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,

Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała, lub spokojem ducha.

Czy pan Zabora, gdy oko zamruża
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u Anioła stróża,
Jemu wiadomo—a to rzecz nie nasza.
Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
Nie bierz, gdy pieniądz Zabora ci poda:
Boć najniewinniéj na głowę upadnie
Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854.

KILKA ULOTNYCH POEZYI.

MATYSEK.

(gawęda).

Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nieznajdziecie,
I przystojny i bogaty
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nieznał biedy,
Zazdrościli mu ludziska;
Nikt niewierzył, aby kiedy
Przyszła kryska na Matyska.

Krasawica-cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:

„Mój Matysku! jestem twoja,
„Będę twoja całe życie!“
Lecz ktoś inny sypnął grosza
I wzajemność dziewki zyska,
I Matysek wziął odkosza.—
Przyszła kryska na Matyska.

„Mój Matysku, niedbaj o to,
„A miłośne rzuć zachody!
„Lepiéj z nami użyj złoto:
„Pójdziem hulać do gospody!“
Tak go sąsiad cieszył w biedzie
I całuje i uściska.
Dobrze mówisz, mój sąsiedzie!“
Przyszła kryska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą,
Na pociechę pół-tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało
I sąsiada i przychodnia:

A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,—
Jak niepyszny szedł do chaty:
Przyszła kryska na Matyska.

I od tańca i od trunku
Zachorował tejże doby;—
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska,
I odjechał w świat daleki:
Przyszła kryska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
„Niechże wspomną towarzysze!
„Ja testament dla nich zrobię
„I każdemu coś zapiszę.“
Ale w chacie nic nie było
Prócz starego w progu psiska,—

Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kryska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co Tureckim ludzie zową,
A odzieży lichéj szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Niepopatrzył nawet zbliska,
Trumnę niosło cztérech dziadów:
Przyszła kryska na Matyska.

Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie niedzwoniono,
Bo niestało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
Przyszła kryska na Matyska.
1855.

W IMIONNIKU S. S.

Tutaj dni moje spokojnie płyną:
Mam chleba, soli, kwiatów do syta,
I dobry człowiek czasem gościną
Do mnie zawita.

W cichéj ustroni żyćby niezgorzéj,
Wśród gęstych dębów, jabłoni, gruszy,
Och! gdyby tylko jeden dar Boży:
Spokojność duszy!

O ludzie dobrzy! o ludzie Bozi!
Westchnijcie czasem za mną k' Jehowie:

Niechaj gorące myśli zamrozi
W zbolałéj głowie.

A wyobraźnia moja skrzydlata
Z chłodnym rozumem niech idzie w parze;
O szczęściu własném, o szczęściu świata
Niechaj niemarzę.

1855.

W IMIONNIKU PANNY A. W.

Masz Pani słuszne prawo do niechęci,
Że się tłómaczyć nawet niepotrafię,
Żem przez lat tyle Jéj xiążkę pamięci
Przechował w szafie.

Coby tu było do dzisiejszéj daty!
Wiersze i proza, rysunki i szkice,
Nie jedną bożek miłości skrzydlaty
Miałby stronnicę.

Coby tu było—o Jezu mój Chryste!
Wyznań miłości skrycie i otwarcie,

A przyjaciółek całuski ogniste
Na każdéj karcie.

Jam cię, xiążeczko, pokrzywdził tak srodze,
Skarbów czułości pozbawiłem może,
A taką krzywdę czémże wynagrodzę?
Boże mój Boże!

Lichym wierszykiem skleconym po czasie
Słówkiem przyjaźni od latek już wiela;
Ale podobno na niewiele zda się
Wpis przyjaciela.

Pani wiész dobrze, że Ją kocham szczérze,
Lecz dla Niéj bratniéj miłości zamało:
Insi-by hołdy składali w ofierze
Na kartkę białą.

Lecz nim z pokorą w piersi się uderzę,
Żem na tak długo pozbawił albomu,

Proszę dać uszko—ja Pani cóś szczérze
Szepcę kryjomu.

Znam, co miłością nazwali ludziska,
Wiém co jest przyjaźń Adamowych córek,
I czułem nieraz w dłoni, co uściska,
Koci pazurek.

Gdyby ten albom był u ludzi w ręku,
Jak mamę kocham, serce mi powiada,
Jużby się tutaj wkradły pomaleńku
Kłamstwo i zdrada.

Miłość i przyjaźń, och! ileż zdrad mieści,
Co potém srodze zakrwawiają łono!
I na cóż pamięć zawodów, boleści,
Mieć utrwaloną?

Xiążka zbyt długo u mnie przeleżała,
Lecz za to karty zostały się czyste,

Jeszcze jéj żadna nieplami zakała,
Broń Jezu Chryste!

Dziś, gdy nakoniec oddawać ją muszę,
Moje życzenia niech jéj towarzyszą:
Niech tylko prawe i poczciwe dusze
Tu się zapiszą.

1855.

DO STANISŁAWA MONIUSZKI.

(Kantata w dzień Imienin, do muzyki J. Z.)

Kiedy serce się rozmacha,
Czyż je skryć pod ławę?
Święto grajka, święto Stacha
Obchodzim w oktawę:
Górą Stachu, grajku nasz,
Co na sercach naszych grasz!

Dźwięk, co z taktów twych się leje
W piersiach nam zasnuty,
Człek się modli, płacze, śmieje
Wedle twojéj nóty:

Bo ty, Stachu, grajek nasz,
Ty na sercu naszém grasz!

Czy na świętą Litaniję
Idziem ludzie grzeszni,
Aż w niebiosa dusza bije
Na skrzydłach twéj pieśni:
Bo ty, Stachu, grajek nasz,
Ty na sercu naszém grasz!

Czy cios jaki z ręki Pańskiéj
Spadnie nam na głowy,
Nócim z tobą śpiew Cygański,
Albo szał Maćkowy:
Bo ty, Stachu, grajek nasz,
Ty na sercu naszém grasz!

Czy wesoło nam w gospodzie,
Z namiś ty, śpiewacze!
Przy twym tanku jak po miodzie

Aż nam dusza skacze:
Bo ty, Stachu, grajek nasz,
Ty na sercu naszém grasz!

Graj nam szczęśliw nieprzerwanie,
Grajku ulubiony!
Splataj naszych serc pukanie
W twe cudowne tony:
Bo ty, Stachu, grajek nasz,
Ty na sercu naszém grasz!

Héj, chłopaki! pieśń niech dzwoni,
Hukniem setne lata!
Piękny wianek z bratnich skroni
Grajka niech oplata:
Viva, Stachu, grajku nasz,
Co na sercach naszych grasz!

1855.

DO DONATA R.

w Imionniku.

Człek kocha ludzi i marzy
Być pokochanym nawzajem,—
Więc często nakształt kramarzy
Uczucia na kredyt dajem,
Licząc na serca współbraci
Że się wzajemność wypłaci.

A iż się pismem stanowi
Jakaś na przyszłość otucha,

Mówimy przyjacielowi,
Dając mu kartkę sztambucha:
„Niech to Waszmości niedraźni,
„Wpisz tu cyrograf przyjaźni,“

Lecz pytam: co znaczy xięga?
Co znaczy pamięć dłużnika?
Wpisze się, zaklnie, przysięga,
A potém jak w wodę znika;
Tylko ślad czarno na białém,
Że oszukany zostałem.

Tylko żal próżny po stracie
I skarga na ród człowieczy...
My z tobą, panie Donacie,
Nie tak urządzim te rzeczy:
Nim przyjaźń powoli wzrasta,
Szacujmy siebie, i basta!

A reszty dopełnią lata,
(Nic nieprzyrzekam, lecz wróżę):

Ja cię pokocham jak brata,
Kochaj mię jeśli zasłużę;
Tak sobie szczerzy i prości
Ufajmy dobréj przyszłości.

1853.

PAN SZCZĘSNY HULAKIEWICZ.

(Roger Bontemps).

z francuzkiego.

Pod złe czasy urodzony,
A wesół zawsze i wszędzie,
Dla męczenników śledziony
Pan szczęsny wzorem niech będzie,
Aby swobodnie się wiodło
Stronić od ludzi oblicza:
Oto dewiza i godło
Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
Ojcowski kapelusz duży,
Zawsze go zdobić pamięta
Gałązką bluszczu lub róży,
Jeden płaszcz od lat dwódziestu
Zawsze mu ciepła użycza:
Oto jest ubiór od festu
Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
Flecik ze wstęgi przepaską,
I puhar kwartowy może,
Co Bóg napełnia swą łaską,
Pusta skrzynka—a w portrecie
Postać kochanki dziewicza:
Ot wszystkie skarby na świecie
Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
Wymyślić sztukę i cacko,

Starszych zabawić gawędką,
Spleść jaką powieść cudacką,
Tańczyć, zaśpiewać śród gości,
Gdy ochota biesiadnicza:
Oto treść całéj mądrości
Szczęsnego Hulakiewicza.

Przestawać na swoim losie,
Pić wino jakie się zdarzy,
Przenosić wierną Małgosię
Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
Że każdy dzionek, co mija,
Miłość i radość policza:
To cała filozofija
Szczęsnego Hulakiewicza.

„Boże, Tyś Ojciec jedyny,
„Ja ufam Tobie jak dziecię:
„Nieracz poczytać za winy,
„Że wesół żyję na świecie;

„Niech póki życia domierzę
„Niemam chmurnego oblicza.“
Oto są całe pacierze
Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
Nędzni w bogactwa ogromie,
A których rydwan żywota
U kresu zbacza i chromie,
Wy, których potęga mami,
Lub godność jaka zwodnicza,
Sprostujcie życie wzorami
Szczęsnego Hulakiewicza.

PODRÓŻ NA XIĘŻYC.

(Voyage au pays de Cocagne).

z francuzkiego.

Ah! vers une rive
Où sans peine on vive.

W kraj szczęśliwy, kraj boski,
Gdzie się żyje bez troski,
Podróżujmy wesoło jak dzieci;
Rozegrzanym po winie
Niech się skrzydło rozwinie—
Hej, na xiężyc wyprawa poleci!

W kraju pięknéj nadzieje
Niech się z losów pośmieję,
Niech zbuduję rozkoszne pałace.
Co za ziemia szczęśliwa!
Miodem, mlékiem opływa,
I używam i grosza niepłacę.

Po podróżnéj fatydze
Gmachy z tortów już widzę,
Jak Luwr pyszny podnosi swą głowę,
A przy każdym filarze
Zbrojne warty i straże,
W ich ręku halabardy cukrowe.

Co za słodka systema!
Tu z żelaza nic niema,
Z cukrów nawet armaty i działa;
Z jagod, fruktów i kwieci
Malowidło się świeci,
Mozaika, rzeźba wspaniała.

Stańmy nieco przed placem:
Tu arlekin z pajacem
Wyprawiają ludowi igrzyska;
W środku bije fontanna,
To nie woda źródlanna,
Ale wino pieniste wytryska.

Długi szereg kucharzy
Mięso piecze i warzy—
Prawa uczty pogwałcać niemożna:
Bo kto jeno przekroczy,
Stawią kodex przed oczy,
Każą kręcić pieczyste u rożna.

Tam w pałacu zasiada
Tucznych mężów obrada,
Składa hołd Wesołości, swéj pani.
Rzeczy dobrze snadź idą:
Wenus, bożek Kupido,
Słowem, wszyscy okrągli, rumiani.

Wszystko szczęściem oddycha,
Twarzy niedmie im pycha,
Niéma spójrzeń ukośnych, poswarek,
Wszyscy prości a szczerzy,
Równi w obec wieczerzy—
Warto z nimi wychylić puharek!

Pięknych niewiast rój hoży,
A żadna się niesroży—
Postać uczty zaprawdę godowa;
Szklanka o szklankę szczęka,
Szumi rzezwa piosenka,
Lub figlarna a pusta rozmowa.

Mąż po sutéj biesiadzie,
Na stół głowę swą kładzie
I zasypia niemarząc zawistnie:
Choć wzrok matek ponury
Wciąż wlepiony na córy,
Lecz pod stołem się rączka uściśnie,

Wszyscy życiem natchnieni,
Każda twarz się rumieni,
Tu nieujdzie twarz chmurna i blada;
Gdy godzina uderzy,
Każdy kontent z wieczerzy,
Spokojniutko do snu się układa.

Jaka tam miłość braci!
A nikt długów niepłaci,
A w miłostkach o stałość niepyta;
A gdzie dusza szczęśliwa,
Wiek powoli upływa,
Sto lat żyją szczęśliwi do syta.

Na xiężycu w téj sferze
Człowiek życia nabierze..,
Ale cóż to??—znów żywot powszedni!
Kto z marzenia mię budzi?
My w gospodzie.... wśród ludzi...
Płaćmy z karty rachunek obiedni!—

GŁOS UBOGICH

do Obywateli Gubernii Wileńskiéj zebranych na wybory

w WILNIE.

O goście szlachetni! i cześć wam i zdrowie!
W czas dobry witajcie nam w mieście!
I groszem i duchem bogaci mężowie,
Co czołem krainy jesteście!
Gdy wasze dostojne obrady i prace
Z wysoka przeżegnał J e h o w a,
Otwórzcie swe serca! bo do nich kołace
Ubogi, sierota i wdowa.

Na polach, we żniwa, plon chybił żniwiarza,
Złe wieści latają żałośnie;
I wioskom i miastom głód smutny zagraża,
Truchlejem, gdy wspomnim o wiośnie.
Gdy waszą troskliwość zajmuje tak szczérze
Po wioskach niedola ludowa,
Niechajże i w mieście jałmużnę odbierze
Ubogi, sierota i wdowa.

Gdy płacąc społeczne zasługi i czyny
W szlachetne zbieracie się grona,
Gdy uczty dajecie wybrańcom krainy,
Wołając ich zacne imiona:
Niech stara gościnność, stosownie do chwili,
W słusznéj się granicy zachowa!
Mniéj kilku toasty—a już się posili
Ubogi, sierota i wdowa.

Tam, w domach—rodziny modlą się za wami,
By sprawy szczęśliwie się wiodły;

A cóż wam zaszkodzi, że z rodzin modłami
Ubodzy połączą swe modły?
Gdy szczodra dłoń wasza ich nędzę umniejszy,
Bóg ziści dziękczynne ich słowa;
I może wymodlą urodzaj plonniejszy
Ubogi, sierota i wdowa.

DO

APOLINAREGO KĄTSKIEGO.

„Drugi raz mię niezłowisz na swych skrzypiec tony!“
Mówił po grze Kątskiego słuchacz rozrzewniony:
Potęgą silnych wrażeń kołysana dusza,
Próżno broni swój spokoj, próżno się obrusza,
Mistrz już zagrał na sercu—bronić się daremnie,
Powtórz tylko: sonato! czego chcesz odemnie?
I puść wodze wrażeniu co ci duszę łechce,
Zdaj się na łaskę mistrza, niech wiedzie gdzie zechce!
Niech czaruje do końca tony wróżbiarskiemi
Co z nad stron ulatują nie tykając ziemi.

Ów dźwięk polotny w górę, przezroczysty, luby,
Jak obłok, gdzie pływają niebieskie cheruby,
Błogosław, że na chwilę skrzydeł ci użycza,
Że rumieniec zapału wywoła z oblicza,
Że choć na jedną chwilę ów czarodziéj Boży
Empirejskie podwoje twéj duszy otworzy!

Rozrzewniony płynącym ze skrzypiec wyrazem,
Kiedy serce płakało i smiało się razem,
Kiedym całą istotą drżał nadziemskim dreszczem,
Jam hardo oko w oko chciał stanąć przed wieszczem,
I powiedziałem w sobie: „oprę ci się żwawo!
„Do moich łez, do westchnień jakie ty masz prawo?
„Kto ci pozwolił igrać w niebiańskie mamidła?
„Drugi raz mię niezłowisz w twoich tonów sidła!
„Otoż zostanę zimnym jak kamień na grobie,
„Na złość tobie, i światu i samemu sobie!“

Ale mistrz jakby odgadł—jak w urągowisko
Zagrał—niebo przybliżył... tak blisko.... tak blisko...

Zamigotał nad uchem, zapiał tak figlarnie,
Żem upadł w mojéj pysze zwyciężony marnie,—
Głaz co miał strzedz mych piersi marnie się rozbija
O kilka lekkich dźwięków na Ave Maria.

Mistrzu! z całą ci prawdą odsłaniam me łono,
Piszę ci ręką drżącą a upokorzoną;
Przebacz chwili oporu com ci stawić życzył,
Jam nieznał twéj potęgi, mych sił nieobliczył!
Już mię zawsze ułowisz na twych skrzypiec tony,
Oto haracz zwyciężcy składa zwyciężony,
Na dowod, że się wiara moja niezachwieje,
Zabierz tę skromną kartkę między twe trofeje.

Wilno

po koncercie d. 22 Października 1835.

ODPOWIEDŹ

DO PANNY A. O.

O dzięki, dzięki rodaczko młoda,
W twych kilku słowach miła osłoda.
Pytasz skąd płynie i co to znaczy
Tęsknota w głębi piersi śpiewaczéj?
W piosnkę, jak w rzekę nim szumieć zacznie,
Tysiące źrzódeł wpada nieznacznie...
Ale szumiąca pieśni kaskada
Wciąż się ze łzawych strumyków składa.
Bóg że odgadnie skąd każdy płynie?
Trudno je odnieść k' jednéj przyczynie

Jest łza radości—są i rozkosze,
Słowem wszystkiego należć potrosze,
Więc gdy te zdroje w piersiach się zleją,
Poczną wirować, kipieć koleją,
To w ech oddźwięku, w ech gwarnym szumie
Ucho rozeznać tonów nieumie;
To płacz jękliwy—jak wiatr w jesieni,
To w śmiech bolesny nagle się zmieni,
To jękiem dzwonu płynie w przestworze,
To jak modlitwa, jak Święty Boże!
Może w nich kiedyś.... kiedyś.... nieznacznie
Ton Alleluja pomagać zacznie,
Lecz póki święte nastąpi rano,
Może już pulsa tętnić przestaną.

Cierni żywota gałęź kolczasta
Zanadto silnie do serca wrasta,
Tak je oplata, tak się wkorzenia,
Że samą boleść w nałog zamienia,
Wyrwawszy gałęź wszczepioną zdradnie

Może się samo serce rozpadnie,
Może się jego rozedrą spojnie,
A więc, bogdajby cierpieć dostojnie.
Gdyby mi dano dolę pieszczocha
Możebym śpiewał weseléj trocha,
Ale i radość byłaby mniejsza,
Nieznałbym chwili jako dzisiejsza,
Niktby nie spytał z miłą osłodą:
„Jakież to ciernie twe serce bodą?“
Takie współczucie, takie pytanie
Ból najdotkliwszy osłodzić wstanie,
Na każde takie dobroci słowo
Duch się uzbraja w potęgę nową,
Pielgrzymki życia znośna fatyga
Brzemię krzyżowe miléj się dźwiga,
Głos spotężnieje a serce wskrześnie
Na nowe bole, na nowe pieśnie.

DO

FELIXA R.

Mój Felixie! wszak ludzie zaprzeczyć nie mogą,
Że wszelka linija prosta jest najkrótszą drogą,
Że gdy pod jedną miarę wykroisz je ładnie,
To trójkąt do trójkąta najściśléj przypadnie,
Że kwadrat stoi prosto a trapez pochyło,
Że koło jest płaszczyzną a ośmiościan bryłą,
Że x algebraiczna cyfra niewiadoma,—
Lecz z tego nie wynika, byś miał siedzieć doma,
Ażebyś cały wieczor (o pożal się Boże)
Miał ślęczeć nad rachunkiem jak kupiec w kantorze;

O! jemu łatwiéj liczyć, gdy grosze nachwytał,
Niż tobie—idealny, szpektorski kapitał.
„Tysiąc mnożę przez tysiąc!“ co za urok słodki!
Zda się, rosną w kieszeni wytarte dwozłótki,
Zda się że szereg cyfer po tablicy szasta,
Że każde zero w worek dukatów urasta;
Człowiek aż oko pasie, aż ślinkę połyka,
Patrząc jak gdyby dzwonnik na brzuch kanonika;
Ale patrząc na cyfry mało się skorzysta,
Chuda w naszych bilansach cyfra rzeczywista,
Integralny rachunek nie wiele się przyda,
Zero od zera—zero, pożyczam od żyda,
Pięć od czterech nie mogę—kiedy pustki w kiesie,
Nie masz na to sposobu i w Pitagoresie!
Więc zostawmy w pokoju rachunki i troski,
Patrzaj co w swéj gazecie napisał Lesznowski:
Owo na ziemi Frankow jest bal u Cesarza,
Owo Turczyn niewierny już wojną zagraza,
Owo straszny kometa przychodzi z oddali,
Drgnie płomiennym ogonem i ziemię zapali,

Pytam się, czyż nie warto o wieczornéj chwili
Byśmy te wszystkie sprawy głębiéj rozważyli?
Lecz nim groźny Padyszach w swéj pychy zakresie
Stolicę ze Stambułu do Smorgoń przeniesie,
Nim się kardynałowie do Paryża zjadą
Maścić wybrańca ludu święconą pomadą—
Zbierzmy się w ciepłą izbę i starym zwyczajem
Zrobmy traktat przymierza Jamajki z Kitajem.
Wszak znasz Trojańskie dzieje—Eneasz przed laty
Zaproszon od Dydony na szklankę herbaty,
Niezrażony przestrzenią i morza ogromem,
Nie sam jeden pojechał, ale z całym domem
I ze wszystkiemi sprzęty własnéj gospodarki:
Włożył Jowisza w kieszeń a ojca na barki
I przewiesił przez plecy posiłek sowity
Z Pryjamowskiéj gorzelni flaszkę okowity,
A kurząc z krótkiéj fajki tobakowe liście
Na Tyryjskie salony wkroczył posuwiście.
W dziejach starych i nowych—jeżeliś ich świadom—
Przypatrzysz się do syta podobnym przykładom:

Cyrusy, Darijusze, Likurgi, Perykle,
Których bohaterami nazywają zwykle,
Których sława z przed wieków aż dotąd się niecmi,
Szli zawsze na herbatę z żonkami i dziećmi.

Raz Pompejusz, Rzymianin rozgłośny u świata,
Zaprosił na herbatę Króla Mitrydata,
Lecz że nie zawsze środki dobrym chęciom służą,
Samowarek maleńki, a gości miał dużo;
Ujrzał, że mu przychodzi wstydzić się widocznie,
Struchlał rzymski bohater i rozmyślać pocznie:
„O gdyby się z kłopotu wykręcić zwycięzko!
„Dałbym chętnie augurom sto wołów na mięsko,
„Uczciłbym Olimpijskie Junony, Cerery,
„Wypiłbym na cześć Bacha kieliszek Madery,
„Kazałbym—jeśli w niebie taki ślub przyjęty—
„Mojemu fagasowi dać sto kijow w pięty;
„Lecz żaden ślub, niestety! i żadna ofiara
„Nie zwiększy obfitości mego samowara!“
Tak gdy biedny Pompejusz w daremnéj rachubie
Gładzi jeno czuprynę i swe wąsy skubie,

Wzywa niebieskie siły i piekieł otchłanie,
Nowy koncept do głowy przyszedł niespodzianie,
Więc jak niegdyś Archimed wykrzyknął—eureka!
I list do Mitrydata posyła przez greka,
A w liście były takie wyrażone myśli:
Chcesz pić u mnie herbatę? to samowar przyszlij!
Więc śladem Pompejowym ozwać się ośmielę:
Przyjdźcie do nas na wieczor dobrzy przyjaciele!
By zaś chińskim nektarem uweselić życie,
Jak niegdyś Mitrydates—samowar przyszlijcie.

ZIEMSKI PADOŁ
I
UBÓSTWIENIE ARTYSTY.
DWA DRAMATA Z GOETHEGO.

Do Pana Adama Szemesza.

Widząc, kochany Panie Adamie, z jakiém zajęciem się czytałeś *Correggia* przez Oehlenschlaegera, w tłómaczeniu Pana Bolesława-Wiktora,—ów krwawy drammat zapasów artysty z życiem, postanowiłem Ci poświęcić mój przed rokiem dokonany przekład dwóch obecnych mikroskopicznych drammatów Goethego. Rozmaite przeszkody zwlekały oddanie do druku méj pracy, a obecnie, w chwili, gdy to mam dopełnić, dochodzi mię we wrześniowym za r. b. zeszycie Biblioteki Warszawskiéj, przekład tych samych drammatów, dopełniony przez tegoż tłóma-

cza Oelenschlaegera, p. B. W. Po chwilowém wahaniu się, postanowiłem nie niszczyć mojéj pracy, sądząc, że literatura nie traci na dwoistym przekładzie rzeczy tego wartych; że jak tutaj, myśl spolszczenia jednego utworu, obudzona w dwóch ludziach jednocześnie, dowodzi jego potrzeby w literaturze i coraz mocniejszego zajęcia się ogółu sztuką i tém co ma z nią związek;—tusząc zresztą, że p. B. W. nie posądzi mię o chęć rywalizacyi z jego pięknem tłómaczeniem, a Ty, dobry Panie Adamie, przyjmiesz odemnie chętliwém sercem ten drobiazg, jako pamiątkę mojego najprzyjaźniejszego dla Ciebie współczucia,—oddaję mój przekład na łaskawy sąd czytelników.

Tłómacz.

Dnia 11 sierpnia 1855 r. Borejkowszczyzna.

ZIEMSKI PADOŁ ARTYSTY.

(Künstlers Erdewallen).

DRAMAT W DWÓCH AKTACH.

AKT PIERWSZY.

(*Artysta w swojéj pracowni* (przed wschodem słońca)—*przed nim portret kobiéty tłustéj, brzydkiéj, zalotnie zézem patrzącéj. Za pierwszym pociągiem pędzla zatrzymuje się*).

Ja niemogę! ja nie chcę! pędzel z rąk wypadnie!
Co za twarz! jaka brzydka, zużyta szkaradnie!

(*odstawia obraz na stronę*)

Żono! dziatwo kochana! czyż dla téj roboty

Mam stracić mój poranek... mój poranek złoty!?
Co mi trosk całodziennych uspokaja burzę...
(*patrzy w okno*).
Jak się pięknie jutrzeńka rumieni w lazurze...
Cała ziemia siłami nowemi się krzepi...
Och! i na sercu mojém cóś młodziéj, cóś lepiéj,
Oku memu tak błogo, że zapłakać może!...
(*Ustawia na stalugach naturalnéj wielkości obraz Venus-Uranii*).
O ty piękna bogini! méj duszy utworze!
Przy tobie mego szczęścia odzyskiwam trocha...
Jakby szczęście młodziana, co pierwszy raz kocha!!
Na myśl w tobie rozlaną z wdziękiem i swobodą
Patrzę, jak narzeczony na kochankę młodą...
Gdzież się pędzel mój spotka z takim pierwowzorem?
Ach! i ty moją jesteś!.. tyś moim utworem!
Utworem jaki tylko myśl święta uczyni...
Mną samym... więcéj jeszcze—tyś moja władczyni!
I jażbym cię dla głupców rozwieszał w tandecie...
Przedawać... ciebie... za nic!.. o! za nic na świecie!

Aby cię świętokradzko zapoznali ślepi,
Kędy zbytek ich ściany fraszkami oczepi!..
(*patrzy do drugiéj izby*).
Dzieci moje!...
(*znowu do obrazu*).
O, bóstwo nad wszystkie boginie!
Ja ciebie karmicielką méj dziatwy uczynię,
Ja ciebie gdzieś w bogatym przybytku zawieszę,
Haracz swego podziwu niech ci płacą rzesze!
Ztąd będzie chleb dla dzieci... o, wyborna rada!
Nie... nikt się niepochlubi, że ciebie posiada...
Będziesz utworów życiem, będziesz ideałem,
I wszyscy cię uwielbią, jak ja ukochałem..
Słodko mi przy téj myśli...
(*Słychać kwilenie dziecka*).
Już późno! mój Boże!

ŻONA ARTYSTY (*budzi się*).

Ty już wstałeś, mój luby—czy już dzień na dworze?
Idź wykrzesaj mi ognia... któż drzewo roznieci?
Muszę wodę przystawić na klejek dla dzieci.

STARSZY SYN (*wyskakując z łóżka*).

Tato! ja ci pomogę!

ARTYSTA (*jeszcze przez chwilę stojąc przed obrazem*).

O mój ideale!

(*do syna*).

Przynieś mi drobnych drewek, ja ogień rozpalę.

AKT DRUGI.

ARTYSTA.

Franciszku! kto tam dzwoni? o tak rannéj chwili!!

DZIECIĘ.

Jakiś pan z tłustą panią—ci, co wczora byli.

ARTYSTA.

(*stawiając na stalugach portret który był odrzucił*).

Udam, że właśnie byłem zajęty ich pracą.

ŻONA ARTYSTY.

A malujże ich prędko, to zaraz zapłacą.

ARTYSTA.

Myślę o tém...

PAN.

My w porę trafiamy do pana.

PANI.

Choć jestem dziś tak blada,—taka niewyspana!

ŻONA ARTYSTY.

O paniś zawsze piękna...

PAN.

Czy wolno, mój panie,

Obejrzeć malowidła, co wiszą na ścianie?

ARTYSTA,

One tak zapylone...

(*do pani*).

Niechaj pani siada.

(*maluje*).

PAN.

Trzeba dzisiaj mieć wenę a wenę nie lada.

Nieźle, nieźle... nos, oczy, każdy rys z osobna...

A jednak cała postać jeszcze niepodobna.

ARTYSTA (*tajemniczo*).

Właśnie ja nad tém ślęczę.

PAN (*zdejmując ze ściany jedno malowidło*).

Poznaję... zakaty!..

ARTYSTA.

To jest, panie, mój portret przed dziesięciu laty.

PAN.

Podobny! bardzo!

PANI (*rzucając przelotne spójrzenie na portret*).

Bardzo!... co się rzadko zdarzy.

PAN,

Tylko dziś... trochę zmarszczków przybyło na twarzy.

ŻONA ARTYSTY (*cicho do męża*).

Pieniędzy mi, mój drogi, na rynek potrzeba...

ARTYSTA.

Nie mam...

ŻONA.

Ja muszę kupić twarogu i chleba.

PAN.

Tylko maniera pędzla nie zawsze szczęśliwa...

ARTYSTA.

Bywa lepiéj, lub gorzéj...

PAN,

Tak... tak... różnie bywa.

(*zbliżając się do stalugi i patrząc jak się maluje portret*).

W oczach zamało ognia;... nos płaski niezmiernie...

ARTYSTA (*do siebie*).

Chyba szatan na głowę wtłoczył mi te ciernie!

GENIUSZ SZTUKI.

(*niewidzialny od innych zbliża się do niego*).

Synu! czy tracisz męztwo? czy to ciebie boli?
Każdy człek swoje jarzmo dźwiga poniewoli.
Gdy płaci, to się zżymać wcale nie ma o co,
Kiedy gminne przygany nad tobą świergocą;
Za to w chwili wytchnienia zasiądziesz ochoczy
Nad dziełem, które kiedyś chwałą cię otoczy.
Dłużéj, synu, goręcéj i pracuj i potniéj,
Dokopiesz się spoczynku i spoczniesz ochotniéj.

Niebo chętnie przygarnie, utuli w rozpaczy,
Czyje ziemskie mozoły i czyny zobaczy;
Lepiéj ci posmakują sen, miłość i strawa,
Zamiast bogactw, niech męztwo przy tobie zostawa.

UBÓSTWIENIE ARTYSTY.

(Künstlers Apotheose).

DRAMAT Z GOETHEGO

w jednym akcie.

(*Wspaniała galerya obrazów. Malowidła różnych szkół wiszą porozwieszane w szerokich złoconych ramach. Mnóstwo osób przechadza się tu i ówdzie. Z jednéj strony siedzi młody uczeń, zajęty kopijowaniem obrazu*).

UCZEŃ.

(*powstaje, składa paletrę i pędzel, i odchodzi w tył*).

Pracuję tu dni tyle a serce się miota,
Jakaś ogarnia duszność i jakaś tęsknota;
Zakreślam, wyczerpuję sposób po sposobie,
A zaledwie potrafię widzieć sam co robię.
Przez kwadraty przeniosłem zarysy i twarze,
I wszędzie kładnę farby, jako mistrz mój każe,
Wzór mój powtarzam wiernie, choć trudna mozoła,
I czynię, na co możność zdobywać się zdoła...
Patrzę na moją pracę skłopotany srodze,
To się od niéj oddalę, to bliżéj przychodzę,
Aż się potem i wstydu rumieńcem oblałem...
Och! kopija niezdoła być oryginałem!
Bo tutaj zda się tętni swoboda i mowa,
A moja praca sucha, drewniana, matowa;
Tutaj wszystko jest w ruchu, wszędzie kipi życie—
U mnie wszystko wygląda martwo, chorowicie;
We wzorze przezroczystość, żywość samorzutna—
Umnie jak stary garnek—znikomy szmat płótna!

Idzie mi jak z kamienia—i cóż po zapale?
I cóż że dobréj woli niebraknie mi wcale?
Bo im bardziéj się dręczę, zgłębiam sztuki prawa,
Tém dobitniéj postrzegam, co mi niedostawa.

JEEDEN Z MISTRZÓW (*zbliżając się*).

Synu! dobrześ wykonał... zaświadczyć to mogę.
Pamiętasz, jakem zawsze powtarzał przestrogę:
Że im pilniéj przy pracy dręczy się artysta,
Im ostrzéj siebie sądzi—tém więcéj skorzysta.
Z dnia na dzień nieustawaj i sądź siebie srogo,
A ujrzysz, gdzie te sądy zaprowadzić mogą;
W ten sposób spełnisz celu twego powołanie,
W ten sposób wszelka trudność łatwiejszą się stanie,
A powoli... po trudach, po boleśnéj męce
Wielką zagadkę sztuki zdobędziesz w twe ręce.

UCZEŃ.

Mistrzu! zanadtoś dobry, zachęcasz tak mile,
A nie mówisz o błędach, których w pracy tyle.

MISTRZ.

Mówię tylko, mój synu, niefolguj fatydze;

Co dotąd uczyniłeś, z rozkoszą to widzę,
Że sam siebie ponaglasz na sztuki bezdroże,
Że myśl twa bez postępu pozostać nie może;
Zechciéj tylko gdzie niegdzie poprzebywać tamy,
A zresztą... innym czasem o tém pogadamy.

(*odchodzi*).

UCZEŃ (*patrząc na obraz*).

O! spokoju dla ducha nieznajdę, niespocznę,
Aż zgłębię tajemnice sztuki nadobłoczne!

JEDEN Z AMATORÓW (*podchodząc*).

Niepojmuję, mój panie! chcąc być doskonali
Dla czego przychodzicie tracić czas w téj sali?
Naśladować Pan Bóg wié dla czego i kogo,
Zamiast zgłębiać naturę jak najprostszą drogą?
Trza natury, mój panie, natury i kwita:
Bo natura nad wszystkie mistrze znakomita,
W krainę ducha duchów prowadzi swe dzieci,
I duch wszelkiego ciała przed niemi wyświeci,
Niejedną tajemnicę wyświetli, zdobędzie;
Zmiłujcie się, panowie, miejcie to na względzie!

Bo pytam: czyż prowadzi ku jakiéj zasłudze
Z taką pracą, z mozołem zgłębiać dzieła cudze?
Na téj fałszywéj drodze niewiele się wskóra,
Jest natura, mój panie!... natura, natura!!

UCZEŃ.

Ja to samo już nieraz od wielu słyszałem.
Biegłem zgłębiać naturę, w zamniemaniu śmiałém,—
Było to dla mnie święto, radość sercem miota,
I nieraz się szczęśliwie powiodła robota;
Ale częściéj, och! częściéj spotkawszy się w drodze;
Z przed oblicza natury zawstydzon odchodzę.
Nieśmiem powtarzać próby, aż w późniejsze lata:
Boć to ciężka mozoła i czasu utrata.
Karty są kolosalne w wielkiéj księdze nieba,
A tu skróconém pismem wyrazić je trzeba.

AMATOR (*do siebie*).

Ho! ho! ja dzięki Bogu znam te kommunały!
Poczciwe człowieczysko... ale talent mały!..

UCZEŃ.

Jeszczem nic nieuczynił—a tu czas ucieka!

A tu droga nauki przedemną daleka!

DRUGI Z MISTRZÓW (*podchodzi do ucznia, patrzy na jego pracę i nic nie mówiąc, oddala się*).

UCZEŃ.

Proszę, mistrzu, nie odchodź odemnie surowo.
Wiém, żeście doświadczeńsi, wyrzeknijcie słowo,
Udzielcie mi porady, uspokójcie trwogę—
Wszak na to zasługuję, gdy czynię, co mogę.
Czy miałbym już rozpaczać, czy wytrwać w zapale?

MISTRZ.

Coś uczynił, co czynisz, widzę doskonale;
Ze współczuciem, z podziwem zgłębiam prac twych plony:
Zda mi się... że na mistrza jesteś utworzony.
Mądrze używasz czasu, masz silne uczucie,
Badasz piękności świata w jednym oka rzucie;
Żądny, by ją utrwalić i przeznać najściśléj,
Coraz wprawiasz twą rękę do wydania myśli;
A gdy wrodzona siła złączy się ze wprawą,
Dziś dobrze... jutro lepiéj... pójdzie postęp żwawo.
A jednak...

UCZEŃ.

Cóż?

MISTRZ.

Wykształcasz i rękę i oko,
Musisz jeszcze myśl twoję wykształcić wysoko:
Genijusz najwznioślejszy kiedy się ma wznosić,
Nie dosyć mu przyrody, instynktu niedosyć.
Wznieść się nad pospolitość zadanie nielada;
Sztuka zostaje sztuką—a kto jéj niezbada,
Niech do miana artysty jeszcze praw nierości.
Sztuka się niepoznaje omackiem w ciemności;
Nim co stworzysz, to przeznać musisz z każdéj strony.

UCZEŃ.

Wiém, że gdy biegła ręka, gdy wzrok wykształcony,
Snadniéj iść do natury lub nauczyciela;
Ale myśli nam tylko światły człek udziela.
Mistrzu! jakby to słodko być pod twoją wodzą!
Ale ciebie zaprawdę drudzy nieobchodzą.
Byłbyś tak pożytecznym doradzcą dla wiela,
Czemuż się twoje zdanie światu nie udziela?

MISTRZ.

Dzisiaj żyją z dnia na dzień, lubią co wygodne,
Któżby przyjął porady surowe a chłodne?
Lubią łatwość, a ciężkie są warunki ducha,
Mógłbym śpiewać piosenkę, lecz któż jéj posłucha?

UCZEŃ.

A więc ja w twoich oczach nagannym być muszę,
Żem o to z tym człowiekiem tak ściśle zlał duszę.
(*ukazuje na obraz, który kopijował*).
Żem cały tu utonął—małoż się korzysta?
Toż moja istna rozkosz, to wygrana czysta,
Że na nim się wykształcam, badam go ciekawie,
Że go wyżéj nad wszystkich innych mistrzów stawię,
Że przedemną jak żywy stoi nieprzerwanie,
Że kocham, jak...

MISTRZ.

Ja wzniosłych zapałów nie ganię:
Ku pięknemu celowi puszczasz się w zawody.
Nie ganię uniesienia, boś ty jeszcze młody;
Nie gniewam się, że młodość swe skrzydła rozwinie,

Że miłość i nienawiść gorętsze w jéj łonie.
Wielkiego wziąłeś mistrza, szczęśliwyś w wyborze;
Ale ucz się poznawać, co mu braknąć może:
Potrzeba kochać sztukę, a nie same wzory.

UCZEŃ.

Jam zawsze niespokojny, jam zawsze jak chory...
Badam... lecz dusza czegoś więcéj upragniona...

MISTRZ.

Przyjacielu! zważ naprzód, co twój mistrz dokona,
Co chciał wydać i jakich środków brał narzędzie—
Wtenczas ci wzór naprawdę pożytecznym będzie.
Dla jednego zapomnieć wszystkich niewypada:
Pan Bóg nie w jednym człeku tylko cnotę składa,
I nie jest całéj sztuki jeden mistrz wyrazem.

UCZEŃ.

O! mów mi jeszcze więcéj!

MISTRZ.

Kiedyś innym razem.

INSPEKTOR GALERYI (*podchodząc do nich*).

Dzisiaj dla nas szczęśliwe słońce zabłysnęło:

Nabyto nowy obraz—lecz cóż to za dzieło!
Kosztowny, jak nie było za pamięci mojéj.

MISTRZ.

Czyjże przecię?

UCZEŃ.

Ja zgadnę—to mię niepokoi.
(*ukazując na kopijowany*).
Tego mistrza, nieprawdaż?

INSPEKTOR.

Tak, odgadłeś panie.

UCZEŃ.

Więc spełnione gorące méj duszy żądanie!
Tu właśnie swoją sławę, tu świetność odzyska.
Gdzie jest obraz? pozwólcie niech popatrzę zbliska.

INSPEKTOR.

Wnet go tutaj przyniosą, zaraz zobaczycie.
Co za szacowny utwór! jakie gra w nim życie!
W miarę jego wartości, nasz książe go płaci.

HANDLARZ OBRAZÓW.

Teraz właśnie galerya w zazdrośnéj postaci:

Posiada jeden obraz, co chlubę stanowi.
Co za piękne świadectwo przyszłemu wiekowi!
Jak nasz książe wspaniały! jak znaczno co chwila
Że on sztukę ocenia, kocha i zasila!—
Wraz przyniosą—ujrzycie jego postać cudną,
Raz oczy utopiwszy, już oderwać trudno.
W życiu mojém—zaręczam—jeszcze ani razu
Nieudało się nabyć takiego obrazu.
Żal że muszę go oddać, choć po znacznéj cenie:
Bo to skarb!—on wart... więcéj, więcéj nieskończenie!

(*Wnoszą obraz Venus-Uranii i ustawiają go na staludze*).

Taki, jakem go nabył, oddaję po prostu,
Niewciągnięty w ramy, jeszcze bez pokostu:
Tu nie trzeba fortelów dla dodania wdzięku.
Jak cudnie zachowany! snadź w dobrém był ręku.

(*Wszyscy otaczają obraz*).

PIERWSZY MISTRZ.

A jaka wprawa pędzla!

DRUGI MISTRZ.

Jaka myśl głęboka!

UCZEŃ.

Ja czuję, jak mi pała źrzenica od oka!

AMATOR.

Co za bozki malunek!

HANDLARZ.

Co za maniera!

INSPEKTOR.

Przynieśli złote ramy... to obraz ubiera.

Héj, żwawo do roboty!.. jak niewidać księcia.

KSIĄŻE (*wchodząc przygląda się obrazowi*).

To arcydzieło sztuki—utwór wart zajęcia!

Tu go ocenią starsi, tu ubóstwią młodzi.

KASSYER (*kładnąc na stół worek z cekinami wzdycha*).

HANDLARZ (*do kassyera*).

Muszę przejrzéć cekiny, czy waga dochodzi.

KASSYER.

Masz pan zupełne prawo.

(*Książe stoi przed obrazem, inni w pewném od niego*

oddaleniu. W tém się głąb' otwiera: widać w obłokach geniusza sztuki, który trzyma za rękę twórcę obrazu).

ARTYSTA.

Duchu! gdzie ja płynę?

GENIUSZ SZTUKI.

Chodź... przypatrz się sam sobie... spójrzyj na nizinę:
Tu widownia twéj cześci, daję hołd ci szczery.

ARTYSTA.

Czuję tylko ciśnienie ziemskiéj atmosfery.

GENIUSZ.

Patrzaj! tam dzieło twoje promieni się jasno,
A przy niém wszystkie inne blednieją i gasną;
Z pomiędzy tylu gwiazdek co błyszczą w tę porę,
Ogniem pierwszéj wielkości twoja gwiazda gore.
Patrz, ile biorą wrażeń z twego arcydzieła,
Czém w twe piękne godziny twoja dusza tchnęła;
Podziwiają myśl wielką, co z utworu świta,
Hołd bierze sztuka wierna, cicha, pracowita.
Mistrzowie tu się uczą z głębi myśli twojéj,

A mądry książe w niemém podziwieniu stoi,
Oddala się, to zbliża—jego dusza rada,
On czuje całe szczęście, że ten skarb posiada.
Patrz na tego młodzieńca z twarzą zaognioną:
Jaką serdeczną żądzą jego oczy płoną!
Jak pragnie wpływem twojéj upoić się duszy!
Oto potęga sztuki—patrzaj co poruszy!
Będzie przez całe wieki władać nad bliźniemi
Wola prawego męża wszechmocna na ziemi;
Nie ginąc w kresie życia, wciąż działa na nowo;
Wszelki czyn znakomity, wszelkie piękne słowo,
Jak działało za życia, nieśmiertelnie działa.
Oto od dziś poczyna wiekować ta chwała—
Użyj nieśmiertelności!...

ARTYSTA.

O! wielka zapłata!
Tyle pięknego szczęścia za tak krótkie lata!
A jednak w téj godzinie, gdy mię radość wzrusza,
Przebacz, tajemnym smutkiem napełnia się dusza;
Czyż młodzieniec dziękować, czy wesół być może?

Gdy jego ubóstwiona jest więźniem w zaporze?
Możnaż go nazwać pełnym szczęścia i wesela,
Kiedy on jéj cierpienia nawet niepodziela?
Bo zawsze serce moje łaknęło, pragnęło
Tego, co dziś tak hojnie otacza me dzieło.
Po co to dobry duchu, i wiedzieć mi na co,
Że mię cześć opromienia, że mi złoto płacą?
Tyle grosza za życia nie miałem od razu,
Co dzisiaj warte ramy mojego obrazu.
Tożto byłoby szczęście i radość obfita,
Gdybym z żoną i dzieckiem miał strawy do syta!
Gdyby jeden przyjaciel, co zgadł moje chęci!
Gdyby książe wspaniały, co talent zachęci!—
Ja nic tego nie miałem—wiodłem wiek mój cichy,
W ciemnych murach klasztornych, kędy ciemne mnichy,
Nie miałem ani znawcy, coby mi poradził,
Ani ucznia, bym drogą méj sztuki prowadził.

(*Wskazuje znacząco na młodego ucznia*).

Och! za tyle udręczeń niepragnę nagrody,
Patrz jeno! oto sztuki powołaniec młody:

Niechaj życie do niego uśmiechnie się miléj,
Niech mu nędza niewczesna rąk nieobezsili,
Niech uzna bóztwa sztuki opiekę jedyną,
Że dni jego swobodnie i cicho upłyną—
A chwałę, co mi w niebie błogi spokój miesza,
Niech jeszcze za żywota wypłaci mu rzesza.

TOAST

W DOMU W. MARCINKIEWICZA.

Szczęśliwy kogo wianek bratnich serc otoczy,
Jak mię dzisiaj przychodnia u brzegów Świsłoczy.
W pośród was przepędzone błogosławię chwile.
Za kilka marnych pieśni, mam bratnich serc tyle!
Dziś zaciągam powinność względem was swojacy
Do gorętszéj miłości i gorętszéj pracy;
O bogdajbym ją ziścił, i w godnéj postaci
Mógł czynem podziękować méj litewskiéj braci,—

Bo dzisiaj przy twym stole serdeczny Naumie *)
Serce moje zaledwie rozrzewnić się umie,
Pierś zaledwie na słabe zdobędzie się tony,
Niech żyje nasza Litwa i mój Mińsk rodzony!

Mińsk d. 5-o czerwca 1855 r,

---

*) Gospodarzem domu był P. W. Marcinkiewicz autor ludowéj operetki p. t. *Sielanka, oraz Wieczornic i Hapona* przezwany w kołku przyjacielskiém *Naumem*, od głównéj postaci w jego *Sielance*.

FRAGMENT Z XIĄG HIOBA.

ROZDZIAŁ I.

„Vir erat in terra Hus nomine Job, et erat
„vir ille simplex et rectus et timens Deum,
„et recedens ex malo."

W krainie wschodniéj, co się Hus nazywa,
Mieszkał mąż Hijob za dawnego wieka,
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się P a n a, od złego ucieka.
Miał siedmiu synów i trzy córki hoże,
A swego mienia policzyć niemoże:
Siedem tysięcy owieczek w swéj trzodzie,

Trzykroć po tysiąc wielbłądów gromadzi,
Pięćset jarzm wołów i siła czeladzi—
Był to mąż wielce bogaty na wschodzie.

A każdy z synów wyprawiał biesiadę
Kiedy na niego koléj dnia przypadła;
Trzy siostry do nich przychodziły rade—
I było dosyć napoju i jadła.
Gdy dni biesiadnych kolejka minęła,
Ojciec ich wzywał do świętego dzieła,
A rano wstawszy wiódł ich do świątyni
I za każdego modli się z osobna,
Ofiarę Bogu całopalną czyni:
Bo mówił w sobie: „Do prawdy podobna,
„Że któryś z młodych grzechem się zapruszy,
„Niebłogosławił Panu w swojéj duszy.“
Tak się znaczyła Hijobowa cnota
Przez wszystkie chwile długiego żywota.

Pewnego razu, kiedy syny Boże
Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy
Stały przed P a n e m w uroczystym chorze,
Zjawił się szatan u tronu J e h o w y.
—„Zkąd to powracasz?“ Przedwieczny go spyta.
Odpowié szatan: „Chodziłem po ziemi,
„Przebiegłem całą oczami mojemi,
„Żadna jéj cząstka przedemną nie skryta.“
I rzekł J e h o w a: „Czyś widział w podróży
„Tego, co z ludzi najlepiéj mi służy?
„Mieszka w Hus ziemi, Hijob się nazywa,
„Niemasz na ziemi równego mu człeka,
„Bo dusza jego prosta, sprawiedliwa,
„Lęka się Pana, od złego ucieka.“
Odpowié szatan: „Znam serce Hijoba,
„Czyż on za darmo tak Boga się boi?
„Niezna, co losów jakakolwiek proba,
„Ogrodzon murem łaskawości Twojéj;
„A Twoje oczy najtroskliwiéj strzegą
„I domu jego i majątku jego;

„W błogosławieństwie mu dobytek, dziatki,
„Jego majętność przysparza się wszędzie;—
„Ściśnij go nieco, odejmij dostatki,
„Obaczym, jak Ci błogosławić będzie?“
I rzekł Jehowa: „Krom jego żywota
„Otoć Hijoba majętność oddana,—
„Doświadczaj, czém jest sprawiedliwych cnota!“
I szatan odszedł od oblicza Pana.

Syn pierworodny w oznaczonéj chwili
Przyzwał na ucztę i siostry i braci.
Gdy brali pokarm, kiedy wino pili,
Przybieżał goniec zlęknionéj postaci
I rzekł: „Hijobie! o biada nam biada!
„Cały dobytek marnie ci przepada.
„Twoje oślice pasły się w dąbrowie,
„A twoje woły na polu orały—
„Wtém przyszli srodzy Sabejscy mężowie
„I zagarnęli twój dobytek cały,

„Wyrznęli czeladź straszliwi ciemiężce,
„Jam ledwie umknął zwiastować o klęsce!“
Jeszcze nieskończył—drugi goniec wpada
I rzekł! „Hijobie! o biada nam biada!
„Piorun niebieski uderzył w owczarnię,
„Pobił twe trzody i twoje owczarze,
„Wszystkie budowy poszły z dymem marnie,
„Jam ledwie umknął donieść o pożarze!“
Jeszcze nieskończył—trzeci goniec wpada!
I rzekł: „Hijobie! o biada nam biada!
„Chaldejczykowie trzema hufy wpadli,
„Wzięli wielbłądy, gdy pędzono w pole,
„Sług twych pobili wrogowie zajadli,
„Jam jeden umknął zwiastować niedolę!“
Jeszcze nieskończył—czwarty goniec wpada
I rzekł: „Hijobie! o biada ci biada!
„Syn twój najstarszy dzisiaj ucztę czyni,
„Orszak twych dzieci był wszystek zebrany.
„Wtém dziki wicher przypadł od pustyni,
„Zatrzęsnął domem i zgruchotał ściany,

„A dzieci twoje zwalone na ziemi,
„Legły pobite berwiony drewnemi.
„Jam ledwie zdołał przybieżeć ku tobie,
„By twe nieszczęście zwiastować, Hijobie!“

Więc Hijob powstał i rozdarł swe szaty,
Ogolił włosy, co zdobiły ciemie,
A święcąc Panu poniesione straty
Uczynił pokłon upadłszy na ziemię:
„Nago powrócę na łono mogiły,
„Jak nagom wyszedł z łona mojéj matki;
„Pan dał, Pan odjął znikome dostatki,
„Niech wola Jego będzie pochwalona!
„Uczynił ze mną wedle swojéj chęci,
„Niech Imie Jego na wieki się święci!“
Tak mając duszę ku Panu gotową
Nie zgrzeszył Hijob niedorzeczną mową.

ROZDZIAŁ II.

„Factum est autem cum quadam die venis-
„sent filii Dei et starent coram Domino.“

Stało się tedy, kiedy syny Boże
Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
Stały przed Panem w uroczystym chorze,
I szatan przyszedł do tronu J e h o w y.
„Zkądże powracasz?“ Przedwieczny go spyta.
Odpowié szatan: „Chodziłem po ziemi,
„Wzdłuż, wszerz przebiegłem oczami mojemi,
„Żadna jéj cząstka przedemną nieskryta.“

Rzekł Pan: „Czy byłeś gdzie Hijob przebywa?
„Niemasz na ziemi równego mu człeka,
„A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
„Lęka się Pana, od złego ucieka.
„Choć go dotknęła niedola surowa,
„Jeszcze niewinność swego serca chowa.
„Tyś mię pobudził, bym szukał w nim winy,
„Abym go trapił bez żadnéj przyczyny.“
Odpowié szatan: „Niewielkieć to proby,
„Człek się dla duszy na wiele zdobędzie.
„Dotknij go tylko boleścią choroby,
„Obaczysz jak Cię błogosławić będzie.“
Odpowiadając rzekł Pan do szatana:
„Oto ci władza nad Hijobem dana;
„Czynić z nim wszystko prawa ci udzielę,
„Jeno zachowaj duszę w jego ciele.“
I szatan odszedł z oblicza Jehowy;
I oto druga zaczęła się proba:
Jątrzliwym wrzodem zaraził Hijoba
I ciężkim bolem od stóp aż do głowy;

I usiadł łazarz na kupie śmieciska,
Wrzód jadowity skorupą wyciska:
Przyszła doń żona i gniewliwie rzecze:
„Czyś jeszcze gotów błogosławić Bogu?
„Wytrwaj w prostocie, niebaczny człowiecze,
„I błogosławiąc umrzyj na barłogu!“
Odpowié Hijob: „Szaleniesz zbluźniła!
„Bezbożnéj mowy nieprzedłużaj daléj:
„Przyjmujmy klęski, które Pan przysyła,
„Jakeśmy dary Jego przyjmowali.“
Tak mając duszę ku Panu gotową
Nie zgrzeszył Hijob niedorzeczną mową.

A trzech miał wiernych sobie przyjacieli,
Ci o nieszczęściu jego usłyszeli
I przyszli k' niemu: Eliph z Tamanity,
Baldat Sahitczyk i Sophar z Namaty,
Gdzie leżał nędzarz ranami okryty,
Chcieli go cieszyć wśród cierpień i straty.
Lecz gdy nań oczy podnieśli z oddali,

Nie mogli poznać wśród choroby świeżéj:
Więc zakrzyknęli, ręce załamali,
I darli płacząc kraj swoich odzieży,
I padli na twarz z żalem i popłochem,
I przysypali swoje głowy prochem.
Siedem dni całych siedzieli na ziemi
I siedem nocy—nierzekli ni słowa,
A poglądali oczami łzawemi
Jak ciężką była boleść Hijobowa.

ROZDZIAŁ III.

„Post hac operuit Job os suum
„et maledixit.“

Otworzył usta, i złorzecząc mówi:
„Przeklęty trzykroć ów dzień i godzina,
„Gdy się kazano rodzić człowiekowi,
„Kiedy swą drogę życia rozpoczyna!
„Dzień, w którym światłość błysła mi do oka,
„Niech z grobowego niewyświta ciemna.
„Niech się Bóg o nim niepyta z wysoka,
„Niech będzie czarny jak otchłań podziemna!

„Noc mych urodzin—niechaj burza grzmiąca
„Niech zniszczy wicher ciemny, tajemniczy,
„Niechaj nieidzie w liczbę dni miesiąca,
„W liczbę dni rocznych niechaj się nieliczy,
„Dzikiém pustkowiem niech stanie ze szczętem,
„Dobre jéj imie niech będzie odjętem;
„Od jéj ciemności niech gwiazdy pogasną,
„Niech jéj jutrzeńka nieoświeca złota:
„Iż niezawarła dni mego żywota,
„Iż oczom moim dała widzieć jasno!
„Czemu mię w łonie matki niezabili?
„Czemum nie umarł w urodzenia chwili?
„Na co mię brano na ręce, na łono?
„Na co mię pierśmi do życia karmiono?
„Teraz śpiąc martwo, spoczywając błogo,
„Mieszkałbym w obec i xiążąt i króli,
„Co wielkie państwa w pustyniach zasnuli,
„Co złota, srébra przeliczyć nie mogą...
„Gdzie niedrzy strachem drużyna bezbożna,
„Kędy odpocząć spracowanym można,

„Gdzie niegdyś skuci więzy społecznémi
„Dzisiaj poborców niesłyszą wołania,
„Gdzie równi słabi i potężni ziemi,
„Gdzie niewolnika żaden niepogania...
„Na co jest światło dla oczu nędzarza?
„Na co jest życie wśród goryczy ducha?
„Czekają śmierci, a śmierć się niezdarza,
„Wołają zgonu, ale zgon niesłucha...
„Szukając skarbów, mąż cieszy się w duszy
„Kiedy odkopie grobowisko stare;
„Lecz widok grobu weseléj poruszy
„Tego, kto cierpień dopełnił już miarę,
„Którego drogi stérały się marnie,
„Kogo Bóg wcześnie ciemnością ogarnie.
„Póki pokarmu zakosztuję nieco,
„Pierwiéj westchnienie z mych piersi wychodzi,
„Jęki z ust moich tak gwałtownie lecą,
„Jak gdyby łoskot szumiącéj powodzi.
„Strach, com się lękał, już przede mną stawa,
„Już się sprawdziła boleśna obawa.

„Bywało dusza żalom się niepoda,
„Pokorniem milczał póki serce może,
„A za mój spokój—toż moja nagroda,
„Że przyszło na mnie zagniewanie Boże?“

ROZDZIAŁ IV.

„Respondens autem Eliphas
„Themanitis dixit :“

Na takie słowa Eliph z Temanity
Odpowiadając mówił do Hijoba:
„Możeć się mowa moja niepodoba,
„Ale głos w piersiach niemoże być skryty.
„Tyś uczył ludzi, tyś goił ich ranę,
„Tyś nieraz krzepił ręce spracowane,
„I niejednemu twe słowo pomaga,
„Że się utwierdzał na swéj ciężkiéj drodze;
„Teraz gdy przyszła i na ciebie plaga,
„Otoś na sercu zatrwożył się srodze,

„Gdzie bojaźń Pańska? gdzie twe mocne czyny?
„Gdzie jest ślad twoich dróg w doskonałości?
„Proszę cię, wspomnij: kto zginął bez winy?
„Gdzie są zgładzeni cnotliwi a prości?
„Widziałem nieraz duszę niecnotliwą,
„Boleść jéj siejba i boleść jéj żniwo:
„Straszny gniew Pański głowy ich dosięga,
„Jednym podmuchem z siły ich wywłaszcza,
„W próch się obraca dzikich lwów potęga,
„Srogi ryk lwicy i jéj szczeniąt paszcza,
„Piastunów lwicy rozproszą się stada,
„A krwawy tygrys bez żeru przepada.
„Słyszałem do mnie tajemnicze słowo,
„Szeptanie jego słyszałem z wieczora,
„Gdy człowiekowi po nad senną głową,
„Zwykły ulatać widzidło i zmora,
„Strach mię do kości przejął uroczysty,
„Stanęły włosy, drżałem nieprzytomnie,—
„I głosem cichym, jakby wiatru świsty,
„Ktoś nieznajomy tak przemawiał do mnie:

„Azali człowiek uniewinnion będzie,
„Co do niebiosów równa się Mocarza?
„Czyliż mąż ziemski w jakimkolwiek względzie
„Zdoła być czystszym, niż Ten, co go stwarza?
„Ci, co mu służą, jakże są niestali!
„W aniołach znalazł nieprawości ziarno,
„Ludzie w glinianych domach zamieszkali,
„Co orzą ziemię błotnistą i czarną,
„Daleko więcéj do grzechu gotowi,
„Dają się zepsuć brzydkiemu molowi.
„A od poranku do wieczornéj zorzy
„Będą wycięci, polegną w ruinie;
„A kto pojęciu serca nieotworzy,
„Kto nierozumie—wiekuiście zginie,
„Będzie od niego bracia odłączona,
„A w swéj głupocie zmarnieje i skona.“

ROZDZIAŁ V.

„Voca ergo,—si est qui tibi respondeat
„et aliquem sanctorum convertera."

„Wołajże tedy—niech wybrany który
„Na twe pytania odpowiedź uiści,
„Zabija głupca jego gniew ponury,
„Maluczki ginie od własnéj zawiści.
„Widziałem w świecie potęgę zbrodniarzy
„I złorzeczyłem ozdobie ich głowy;
„Lecz niech syn jego o szczęściu niemarzy,
„Być na próch startym niech będzie gotowy.
„Chleb jego żniwa rozjedzą zgłodniali,
„Bogactwa jego rozpłyną się rzeką,

„Przyjdzie mąż zbrojny, w bitwie go obali,
„I uprowadzi w niewolę daleką.
„Pewna przyczyna dla wszystkich jest rzeczy,
„A żadna boleść niewyrasta z ziemi:
„Na znój i pracę zrodzon syn człowieczy,
„Na lot stworzone ptaki skrzydlatemi.
„Pójdę do Pana i mowę przełożę,
„Niech mi objaśni miłosierdzie Boże.
„On dziwne rzeczy, on tworzy co chwila
„Niewybadane, niezliczone w mowie,
„On ziemię deszczem rzęsistym zasila,
„Podniosł pokornych, a słabym dał zdrowie,
„Rozchwiał złośliwych wszelką myśl złowrogą,
„Rozbroił ręce, że szkodzić niemogą.
„On wikła chytrych w ich sideł narzędzie,
„Radę przewrótnych uczyni daremną,
„Zbrodniarz w dzień biały omackiem iść będzie
„Jakby go nocne otaczało ciemno.
„Ale słabego od gwałtu zachowa,
„Uciśnionemu udzieli otuchy,

„Ani mu ostra zaszkodzi obmowa,
„Miecz jéj stępieje i stanie się kruchy.
„W dzień uciśnienia błogo człowiekowi—
„Nieszemraj w duszy, gdy jesteś karany;
„Niemasz co jęczéć: bo Pan cię uzdrowi,
„Ręka co rani, uleczy twe rany.
„Siedm ciężkich ciosów ominie twą głowę
„I siódma plaga od ciebie uciecze,
„Czy głód pustoszy, czy wojenne miecze,
„Czy złego człeka sykanie wężowe.
„Będziesz stał krzepko, gdy klęska uderzy,
„Śmieszną ci będzie najśroższa niedola,
„I głód i pomór i ryk dzikich żwierzy,
„I zawrzesz sojusz z kamieniami pola.
„W twoim przybytku ujrzysz spokój błogi,
„Czysty na sercu zakwitniesz w ozdobie,
„Twego potomstwa rój piękny a mnogi
„Jak wonne ziółka—uśmiéchnie się w tobie.
„Wnijdziesz do grobu bogaty, wesoły,
„I chlubny w życiu z twoich plonów wiela,

„Jako snop pszenny wniesion do stodoły,
„Który żniwiarzów serce uwesela.
„Tegośmy doszli, stroskany Hijobie!
„Słuchaj te słowa i rozbieraj w sobie.“

ROZDZIAŁ VI.

„Respondens autem Job dixit: Uti-
„nam appenderentur peccata mea,
„quibus iram merui et calamitas,
„quam patior, in statera.“

Na to mu Hijob na odpowiedź rzecze:
„Możem zaprawdę wywołał gniew Boży,
„Niechże cierpienia i nędze człowiecze
„Z memi grzechami na szalę położy,
„Szala mych cierpień och! cięższa sto razy
„Niż piasek morski przesiąknięty wodą!
„Gdy strzały Pańskie moje piersi bodą,
„Boleśne idą z ust moich wyrazy.

„Żądła pocisków duch mój wypijają,
„A strachy Pańskie obsiadły mię zgrają.
„Czyż osieł leśny jęk żałośny wyda,
„Kiedy ma trawy dostatek przy sobie?
„Czyż będzie ryczéć woł przy pełnym żłobie?
„Czy w strawie naszéj smakuje ohyda?
„Czy można przełknąć, gdy jadło bez soli?
„Czyliż w truciźnie jest zdrowie i siła?
„Do czego dusza dotknąć się brzydziła,
„Tém się dziś karmić muszę poniewoli!
„O! któż w nadziei umocni mi ducha?
„Kto mi uczyni, że mię Pan wysłucha?
„Kto pocznie karcić, niech karci dotkliwie,
„Wyciągnie rękę i niech mię uderzy,
„Boleśnym ciosem niech boleść uśmierzy,
„A mowom świętym ja się niesprzeciwię.
„Cóż moja siła?—jam stéran przez nędzę,
„Trudno cierpliwie znosić mą pokutę:
„Jam niekamienny w moich sił potędze,
„A ciało moje nie z miedzi wykute!

„Duch mój sam w sobie wspomożenie traci!
„Gdzież moi krewni? gdzie powinowaci?
„Kto z przyjacielem cierpienia niedzieli,
„Ten bojaźń Pańską zlekceważył podle:
„A bracia moi ode mnie zniknęli,
„Jak szybki potok, co niestoi w źrzódle;
„Boją się szronu, by niezmroził zdradnie,
„A oto na nich ciężki śniég przypadnie.
„Bóg ich rozproszy niedługą godziną:
„Gdy śniég roztanie marnie się rozpłyną.
„Będą uciekać—ale chód ich słaby,
„Bo powikłali swe ścieżki na ziemi:
„Patrzcie na drogę Thema albo Saby,
„A obaczycie, co stanie się z niemi!
„Przyszli tu do mnie—wstydem się okryli,
„Żem miał nadzieję w méj boleśnéj chwili!..
„Wy, co méj doli świadkami jesteście,
„Strach was ogarnia—i czemuż was straszę?
„Czyżem ja prosił: dary mi przynieście!
„Dajcie mi, bracia, majętności wasze!

„Czyżem ja wołał: dajcie krew w ofierze!
„Z nieprzyjacielskich szponów mię wyrwijcie!
„O jedno proszę: bym kierował życie,
„Czego nieumiem, nauczcie mię szczérze!
„Czyż słowom prawdy wy uwłaczać warci?
„Ja będę milczał, kto chce niech mię skarci.
„Lecz wasze słowo na wiatr tylko idzie,
„Miota zelżywe połajania śmiecie:
„Wy na sierotę targnąć się w ohydzie,
„Wy przyjaciela obalić umiecie.
„Obaczym—kończcie, jakeście zaczęli,
„Słuchajcie pilno, czy ja kłamstwo baję,
„Mówcie bez kłótni co się wam wydaje,
„Niech sprawiedliwość wyroku udzieli.
„Dróg nieprawości ominąłem zdala,
„A słowo głupstwa ust moich nieskala.“

ROZDZIAŁ VII.

„Militia est vita homis super ter-
„ram. et sicut dies mercenarii,
„dies ejus.“

„Życie człowieka—jest to walka cicha,
Dzień jego życia—to dzień najemniczy,
Niewolnik w pracy do drzew cienia wzdycha,
Najemnik chwile do zachodu liczy.
Tak się i u mnie zdarzały do syta
Miesiące drzymki, lub noc pracowita.
Do snu się kładąc pytam: kiedy wstanę?
Czyliż mam czekać i boleć do zmroku?
Ciało zgnilizną prochu przyodziane,
Jam próżen wszelkiéj nadziei widoku!

Dni moich pasmo prędzéj się roztacza,
Niż zwój płótniany pod nożycą tkacza...
Życie jest wiatrem—takeś stworzył, Panie!
Nieumiém oczu wznieść ku dobréj rzeczy;
Ty spójrzysz na mnie—i już mię niestanie,
Już mię niezdoła znaleźć wzrok człowieczy!
Jak białe chmury znikną i przebiegą,
Tak znika człowiek—tu był, tu go niéma—
Już niepowróci do domu swojego,
Ani go ziemia obaczy rodzima...
Niech biedna głowa marzyć rozpoczyna,
Pogwarzę z sobą, gdy mię boleść miota:
Czyż ja wieloryb? czy morska głębina?
Zacóż mię straszna otacza ciemnota?
Niechaj mię łoże moje uweseli,
Niech się rozmówię sam z sobą w pościeli.
Ale Ty, Panie, nastraszasz mię we śnie,
Wstrząsasz mą duszę widziadłem zwodniczém!
O życiu mojém zwątpiłem zawcześnie,
Przebacz mi, Panie! bo życie jest—niczém...

Bo cóż jest człowiek? uzacniasz go!!—po co?
Za co Twa dusza ku niemu wylana?
Zaledwieś Łaską nawiedził go zrana,
A już go zaraz doświadczasz Twą mocą!..
Długoż boleśną mam przebywać drogę,
Że w piersiach przełknąć oddechu niemogę?
Stróżu ludzkości!! jam grzeszny! cóż zrobię?
Na coś mię stawił na przeciwko Tobie?
Dla czegoż grzechu mego niezmazano?
Codzień mi z sobą ciężéj i nieśmieléj...
Ja w prochu spocznę—poszukasz mię rano,
Ale już zginę—bo mię proch spopieli..."

ROZDZIAŁ VIII.

„Respondens autem Baldad Suhi-
„tes, dixit.“

Baldad z Suhity na odpowiedź mówi:

„Czyż długo będziesz bluźnić tak niejasno?

„Czyż Pan jest sprzeczen własnemu sądowi?

„Czyż On obala sprawiedliwość własną?

„Synowie twoi, gdy przed Nim zgrzeszyli,

„Dał je na pastwę ich własnych bezprawi.

„Lecz ty w porannéj, gdy się ockniesz chwili,

„Gdy Wszechmocnemu modła się odprawi,

„Gdy będziesz czystym, gdy duch się uprości,
„I Pan się ocknie w swéj sprawiedliwości.
„Jeśli początki twe były za małe,
„On wyolbrzymi koniec twoich chęci;
„Uważaj wieki dawniejsze, zbutwiałe,
„Spytaj usilnie twych ojców pamięci,
„(Bo my jesteśmy ludźmi wczorajszemi
„A życie nasze jest cieniem na ziemi)—
„A głos twych ojców z pod serca odpowie,
„Gdzie siła życia spoczywa ukryta:
„Czyż bez wilgoci zakwitnie sitowie?
„Wzrośnie bez wody oczeretu kita?
„Patrzaj na zeschłą wśród upalnéj suszy:
„Zda się łodyga zielona i w kwiecie,—
„Otoć umarła, spróchniała już przecię,
„Dotkniesz jéj ręką, a w rękach się kruszy;
„Tak obłudnicy wejdą na bezdroże,
„Bo jeden wigor—to jest prawo Boże.
„Bóg żądze głupich zniszczy do ostatka,
„A ich nadzieja, to pajęcza siatka.

„Choć ściany domu podeprze plecami,
„A przecię razem ze ścianą upadnie,
„Ssać pokarm z ziemi napróżno się mami,
„Stosy kamieni przytłoczą go zdradnie.
„Pan wyrwie z ziemi pasożytne ziele
„I rzecze k' niemu: nieznam cię za syna!
„Bo w drogach Pańskich tam większe wesele,
„Gdzie korzystniejsza wykwita roślina;
„Bo Pan Bóg mieszka gdzie szczerzy a prości,
„Nieda ich w szpony ludzkich nieprawości.
„On wargi twoje do śmiechu wykrzywi,
„Krzykiem powitasz bezbożnych bożyszcze,
„Będą się wstydzić twoi nieżyczliwi,
„Gmach nieprawości upadnie na zgliszcze."

ROZDZIAŁ IX.

„Et respondens Job, ait: Vere scio
„quod ita sit et quod non justifice-
„tur homo compositus Deo.“

Odpowie Hijob: „Toć prawda wymówna—
„Będzie potępion, kto się z Bogiem równa;
„Kto z nim szermierzyć puści się na słowa,
„Ten na słów tysiąc jednego niepowie;
„Kto był mu sprzeczen, a spokój dochowa,
„Wielką miał mądrość i w sercu i w głowie!!
„Bo Pan ockniony w zapalczywym gniewie,
„Zdolny wstrząść ziemię a góry przenosić,

„A człowiek, sądząc, że przemądry dosyć,
„Spełnia wyroki, o których sam niewie.
„Pan gwiazdom pieczęć przykłada swą siłą,
„Pan każe słońcu, aby niewschodziło,
„Nad firmamentem rządzi jego władza,
„Po falach morskich On się sam przechadza;
„On gwiazd gromady na niebie rozmieścił,
„On w liczbie—dzieła niezliczone streścił,
„Niewiém—gdy do mnie skieruje swą drogę,
„A gdy odchodzi, ja zgadnąć niemogę.
„A jeśli spyta, to któż mu odpowie?
„Kto Go zagadnie: czemu to, lub owo?
„Nikt się Bożemu nieoprze gniewowi,
„Choćby krąg świata dźwigał nad swą głową.
„I któż ja jestem, abym memi słowy
„Dawał odpowiedź na słowa Jehowy?
„A choćbym sądził i słusznie i szczerze,
„Mego Sędziego naprzód się poradzę.
„Kiedy mię słucha—ja jeszcze niewierzę:
„Och! bo mi przy nim braknie na odwadze!

„Bo w mgnieniu oka zawichrzy powietrze,
„Boleść pomnoży i we próch mię zetrze!
„Pytasz o siłę—Pan treścią jest siły,
„A w sądach Jego--któż za mną poświadczy?
„W głębi méj myśli skona głos doradczy,
„Własne mię usta przed Nim potępiły:
„Nieuniewinnią starania mię żadne,
„Czy ja mam słuszność?—sam tego niezgadnę.
„Jedno, co dusza wyznać się odważy:
„On Sam cnotliwych—On niszczy zbrodniarzy.
„Lecz kiedy chłoszcze, niech zabije raczéj,
„Niżby miał szydzić z niewinnych rozpaczy.
„Posiadła ziemię ręka niegodziwa,
„Oblicze ziemi rój sędziów przykrywa;
„Lecz jest nad sędziów, wielki Sędzia przecię—
„Jeśli go niéma, to któż jest na świecie?..
„Dni są jak goniec, co pośpiesza nagle,
„Przeszły, i dobra zgoła niewidziały,
„Śpieszą, jak okręt, co rozwinie żagle,

„Lecą, jak orzeł na żér między skały...
„Rzekłem: zaniecham bluźnierczych bezprawi;
„Lecz twarz się zmienia, a boleść mię dławi;
„Mych własnych czynów byłem w duszy trwożny:
„Bo wiém, że grzechy zwykłeś karcić srodze:
„A jeśli jestem mimo to bezbożny,
„To cóż po pracy? to cóż po méj trwodze?
„Choćbym się omył—do czegoż mi służy?
„Choćby mi ręce białością się lśniły,
„Ty mię pogrążysz w ohydnéj kałuży,
„Będą mną szaty moje się brzydziły.
„Bo Ty masz wszystką potęgę nademną,
„Bośmy nierówni i z ciała i z ducha,
„Ciebie przed sądem stawić nadaremno,
„Który nas obu zarówno wysłucha.
„Gdy żaden sędzia nieznajdzie sposobu
„Rękę swéj kary położyć na obu,
„Niechże przynajmniéj na mą słabość zważa,
„Odejmie rószczkę swojéj gniewnéj chłosty,

„Swoim postrachem niech mię nie przeraża,
„Będę doń mówił na mój sposob prosty;
„Bo póki groźno po mém licu śledzi,
„Jakże mam dobyć słowa odpowiedzi?"

ROZDZIAŁ X.

„Taedet animam meam vitae meae,
„dimittam adversum me eloquium
„meum.“

„Tęskno méj duszy na świecie jak w grobie,
Brzydzą mię życia mojego koleje,
Więc będę mówił sam przeciwko sobie,
Gorycz méj duszy przed Panem wyleję,
I rzeknę Panu: nie karz, niech nieginę,
A jeśli sądzisz, to powiedź przyczynę!
Czyliż o Panie, dobrém Ci się widzi,
Że mię uciśniesz? jaż Twe dzieło Boże!

Gdy się Twój sługa sromotnie zawstydzi,
Toć się bezbożnik na siłach wspomoże.
Czyż Twoje oko, co wszystko przenika,
Patrzy cieleśném spójrzeniem grzesznika?
Alboż dni Twoje, to człowiecze chwile,
A lata Twoje jako ludzkie lata,
Abyś miał badać moich grzechów tyle,
Jako mię własna nieprawość przygniata?
Łacno Ci wiedzieć, żem dusza bezbożna,
Wszak z Twojéj ręki wyrwać się niemożna!
Sameś mię stworzył, a dziś ciosem młota
Niszczysz co własna utworzyła praca.
Wszak byłeś skinął, a moja istota
Upada w błoto i w proch się obraca.
Jako mleczarka z dojnych wymion krowy
Wyciska mléko i ma sér gotowy,
Takeś mię stworzył—oblokłeś mię ciałem,
Kośćmi i ścięgny utrwalon zostałem;
Dałeś mi życie, dałeś miłowanie,

Strzegła mię Łaska wśród żywota burzy,
Pocóż to taić zdało Ci się Panie?
Alboż ja niewiem, że Ci pamięć płuży?
Jeżelim zgrzeszył—opłakuję zbrodnie,
Czemuś mi cnoty zatamował drogę
Dla chwili grzechu?—dziś sprawiam się godnie,
A przecięż podnieść méj głowy niemogę.
Że byłem pyszny jako leśna lwica,
Wziąłeś mię w sidła między leśne drzewy;
A Twoja pomsta dzisiaj się nasyca,
Nad mą słabością wywiera swe gniewy.
Przyzwałeś świadki żem się puszył marnie,
I nad mą głową pomnażasz męczarnie.
Wyjść z łona matki Ty mi dałeś siły,
Na coś na słońce otworzył me oczy?
Byłbym jak nie był!—z życia do mogiły!
Kiedyż mię ciemno grobowe otoczy?
Puść mię ze świata! póki dni ulecą
Kilka dni moich na téj ziemi łonie,

W mojéj boleści niech popłaczę nieco,
Póki mię ciemno grobowe owionie.
W krainie nędzy, śmierci i ciemności,
Gdzie bez porządku, jeno przestrach gości."

ROZDZIAŁ XI.

„Respondens autem Sophar Naa-
„mathites dixit."

Rzekł na odpowiedź Sofar z Naamity:
Kto wiele mówi, niechże przecię słucha,
Człowiek w szerokie wyrazy obfity;
Usprawiedliwić niepotrafi ducha;
Tobie się zdaje w pysze twego serca,
Że ci zuchwale chlubić się wypada,
Że kiedy innych ośmieje szyderca,
To już szydercy żaden nieprzegada.

Rzekłeś Hijobie: „czyste moje słowa!
„Jestem niewinny przéd pańskiém obliczem!“
Bogdaj do ciebie przemówił Jehowa!
By cię oświecił słowem tajemniczém,—
By cię objaśnił w swéj mądrości drodze,
W drodze zakonu by ci dowiódł jasno,
Że chociaż cierpisz, lecz cierpisz mniéj srodze,
Niżliś zasłużył nieprawością własną.
Myślisz jak widzę: śledzić Pańskie kroki,
I zbadać Wszechmoc, że ci siły stanie:
Lecz On wysoki... nad niebo wysoki,
Głębszy niż piekieł głębokie otchłanie,
Dłuższy niż ziemia, a szerszy niż morze,
Jakże go zdołasz ogarnąć nieboże?
Jeżeli wszystko do gruntu obali,
Lub ściśnie w garści wszech światów ogromy,
Jacyż się Jemu sprzeciwią zuchwali?
On zna człowieka, On grzechów świadomy,
Mąż jeno próżny podnosi się w pychę,
Aby tajemnych drog Pańskich dochodził;

Lesnéj oślicy jedno źrebię liche,
Mówi do siebie: jam się wolnym zrodził!
I ciebie myśli zajęły dziecięce:
Przeciwko Niemu wyciągnąłeś ręce;
Gdy cię odstąpi wszelka myśl nieprawa,
To zniknie razem twój strach i obawa;
Jako niemyślisz o ubiegłéj wodzie,
Zapomnisz cierpień co ci serce bodą,
Gdy będziesz myślał o życia zachodzie,
On ci jutrzeńkę rozpromieni młodą.
Weźmiesz do serca otuchę nieznaną,
I będziesz krzepki jakby cię wkopano;
W twoim spoczynku już strach nieprzenika,
Zbiegną się patrzeć jak ci twarz jaśnieje,
Kiedy się zaćmi oko bezbożnika,
I pierzchną jego obrzydłe nadzieje.

SPIS RZECZY.

stronica.

Kęs chleba, gawęda 1
Matysek (przyszła kryska na Matyska) gawęda . 63
W imionniku S. S. 67
W imionniku Panny A. W. 69
Do Stanisława Moniuszki (Kantata w dzień Imienin). 73
Do Donata R. (w imionniku). 76
Pan Szczęsny Hulakiewicz (Roger Bontemps)
z francuzkiego. 79
Podróż na Xiężyc (Voyage au pays de Cocagne)
z francuzkiego. 83
Głos Ubogich do Obywateli Gubernii Wileńskiéj
zebranych na wybory. 89
Do Apolinarego Kątskiego. 92
Odpowiedź do Panny A. O. 95
Do Felixa R. 98
Ziemski Padoł i ubóstwienie Artysty. dwa dram-
mata z Goethego. 103
Toast w domu W. Marcinkiewicza. 131
Fragment z Ksiąg Hijoba. 133

BIBLIOTEKA BN NARODOWA

i 2185418x

dar
B-ki Polskiej
Paryż
2004.10.22

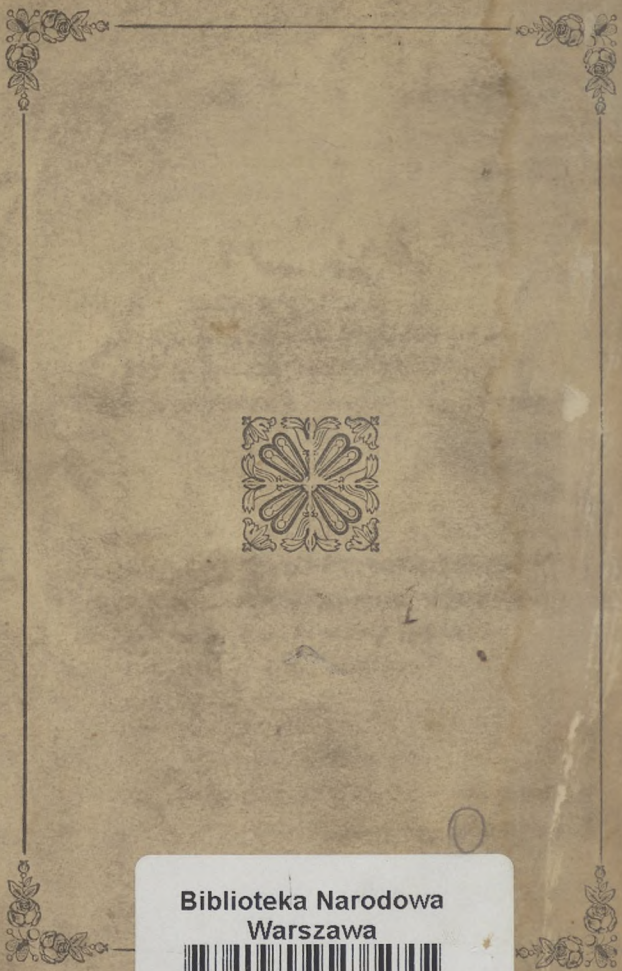
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001001507245

895369

BIBLIOTEKA NARODOWA
WARSZAWA

30001001507245